

Ludwik Jerzy Kern

\\
\\
\\
\\

Zbudź się Ferdynandzie

\\
\\
\\
\\

Instytut Wydawniczy Nasza Księgarnia

Warszawa 1983

Telepajęczarz

I

Ferdynand siedział sobie wygodnie w fotelu przed telewizorem. Zanim usiadł, podciągnął nieco spodnie, żeby nie pognieść za bardzo nogawek (były to bowiem, jak zapewne niektórzy pamiętają, owe pamiętne spodnie szyte przez znakomitego krawca pana Dogga), a potem założył nogę na nogę. Wszyscy poważni ludzie, ludzie, którzy coś znaczą, albo kimś są, siadając przed telewizorem zawsze zakładają nogę na nogę. Fotel był miękki i wygodny, aż przyjemnie było w nim siedzieć. Siedział więc sobie w nim Ferdynand i wpatrywał się w telewizor. A w telewizorze, jak to w telewizorze, działy się rozmaite rzeczy. Najpierw były wiadomości. Ferdynand wysłuchał ich z uwagą, wyznawał bowiem zasadę, że zawsze powinno się wiedzieć dokładnie o tym, co też na świecie się dzieje. Spaliłby się chyba ze wstydu, gdyby na przykład na ulicy spotkał przypadkiem jakiegoś znajomego i ten zapytał go:

- No i cóż tam nowego, panie Ferdynandzie, słyhać w Zanzibarze? - a Ferdynand nie umiałby mu na to pytanie udzielić odpowiedzi.

Brrr! Aż dreszcz przebiegł po ciele Ferdynanda na samą myśl o możliwości zaistnienia takiej fatalnej sytuacji.

``Nie wolno za nic w świecie do czegoś podobnego dopuścić!'' - pomyślał sobie w duchu Ferdynand i z zapartym tchem wysłuchał dokładnie całego dziennika, a potem, kiedy zaczęli przez kwadrans wyświetlać reklamy, jeszcze ze trzy razy cały ten dziennik przepowiedział sobie z pamięci.

- Teraz już nikt mnie nie zagnie! - mruknął zadowolony. - Żeby nie wiem kto mnie spotkał na ulicy albo w parku, albo wszystko jedno gdzie, i żeby nie wiem jakie pytania mi zadawał na temat tego, co się aktualnie w świecie dzieje, to pan Ferdynand Wspaniały zawsze potrafi mu odpowiedzieć natychmiast, i to w sposób precyzyjny i wyczerpujący. Brawo, mój Ferdynandzie, brawo! Jesteś nieoceniony. W nagrodę patrz sobie dalej w telewizor.

Reklamy się już skończyły i teraz był teatrzyk dla przedszkolaków.

- To niepoważne - powiedział z niechęcią w głosie Ferdynand i odwrócił wzrok od ekranu. Ale długo tak nie wytrzymał. Mimo wszystko strasznie go ciekawiło, co tam teraz się dzieje. Zerkał więc od czasu do czasu jednym albo drugim okiem, patrzył chwilę, a potem znów się odwracał i mówił:

- To niepoważne.

Być może niechęć ta brała się stąd, że, o ile wiem, Ferdynand nigdy w życiu nie był przedszkolakiem. Jakoś ominęło go to stadium. Czy to był wynik jakiegoś zaniedbania, czy nieporozumienia, dokładnie nie wiadomo. Dość, że nigdy nie był przedszkolakiem, i tyle. Nie będziemy się w tej chwili zastanawiać, jak do tego doszło. Jeśli kiedyś w przyszłości zdarzy się po temu okazja, postaramy się ten jego negatywny stosunek do przedszkolactwa wyjaśnić. Teraz niech nam wystarczy świadomość, że Ferdynand nie był entuzjastą audycji dla przedszkolaków.

- To niepoważne - mruknął po raz trzeci i wtedy akurat teatrzyk się skończył. - Chwała Bogu - powiedział Ferdynand. - Ciekaw jestem, co będzie dalej.

Prawdę mówiąc, mógł zwrócić do programu telewizyjnego i natychmiast wiedziałby, co będzie dalej, ale program leżał na stoliku, parę metrów od fotela, a Ferdynandowi nie chciało się wstawać. Jak się człowiek czasami tak dobrze usadowi, to nie chce mu się wstawać, prawda? Znacnie to uczucie.

- A co mi tam - westchnął lekceważąco Ferdynand. - Co będzie, to będzie, nie będę się ruszał, tak dobrze mi się siedzi.

I rzeczywiście, po krótkiej przerwie zjawił się na ekranie Kaczor Donald.

Myślicie pewnie, że Ferdynand znów odwrócił wzrok od ekranu i mruknął swoje: ``To niepoważne''. Nic podobnego! Ferdynand aż podskoczył z radości i wrzasnął:

- Donald! Jak się masz?

- Fantastycznie! - odpowiedział Donald. - A ty?

- Ja? Ja wyśmienicie! - powiedział Ferdynand. - Co dzisiaj będziesz odstawiał?

- A taką jedną historyjkę - powiedział Donald.

- Wesołą?

- Co ci będę z góry mówił, sam zobaczysz. Zresztą jak chcesz, to możesz się do nas dołączyć. Masz czas?

- Pewnie, że mam - powiedział Ferdynand.

- No to chodź!

- Już idę - Ferdynand podniósł się z fotela.

W tym momencie rozległ się w przedpokoju dzwonek.

- Zaczynaj sam! - krzyknął do Donalda Ferdynand. - Ja zaraz doskoczę, tylko zobaczą, kto to dzwoni.

I szybkim krokiem udał się do przedpokoju.

- Kto tam? - zapytał.

- Proszę otworzyć - usłyszał stanowczy głos.

Ferdynand otworzył. W otwartych drzwiach stał potężnie zbudowany mężczyzna. Nie czekając na zaproszenie, mężczyzna zdecydowanym krokiem wszedł do przedpokoju.

- Pan ma telewizor? - spytał.

- Mam - odparł Ferdynand. - Bardzo ładny telewizor, z największym ekranem, jaki jest. Proszę bardzo, sam pan może się przekonać.

Mówiąc to Ferdynand wykonał ręką gest zapraszający potężnie zbudowanego mężczyznę do pokoju, w którym stał telewizor.

- Dawno go pan kupił? - spytał potężnie zbudowany mężczyzna idąc za Ferdynandem.

- Ooo, dosyć dawno, sam właściwie nie pamiętam kiedy... - odpowiedział Ferdynand z nonszalancją.

- I pewnie był bardzo drogi, prawda? - dopytywał się potężnie zbudowany mężczyzna.

- Dosyć drogi - powiedział Ferdynand. - Ale czy to jest, proszę pana, takie ważne? Grunt, że doskonale gra. Niech pan tylko popatrzy.

Donald, który akurat nogami ubijał pianę na bezy, ujrzawszy nowo przybyłego wrzasnął nie przerywając roboty:

- Cześć, Wielkoludzie!

Potężnie zbudowany mężczyzna zaczął wpatrywać się w ekran i po chwili powiedział:

- Nie widzę żadnego Wielkoluda... Do kogo on mówi?

- Do ciebie mówię, do ciebie, ty dryblasie - powiedział Donald wyciągając w jego kierunku rękę, tak że prawie połowa jej wyszła z telewizora i sterczała na pokój.

- Tylko bez rąk! - zawołał potężnie zbudowany mężczyzna. - Ręce przy sobie!

- Prawda, jaki to wspaniały telewizor? - powiedział głosem pełnym dumy Ferdynand. - Sam pan chyba przyzna...

- Nic nie przyznam! - wrzasnął potężny. - Nic nie przyznam! To są jakieś głupie kawały!

- Kawały nigdy nie są głupie! - odezwał się z ekranu urażony Donald. - Kto obraża kawały, ten

musi być odpowiednio ukarany.

Powiedziawszy to cisnął odrobinę ubitej piany prosto w lewe oko potężnie zbudowanego mężczyzny.

- Widzi pan, jaki to wspaniały telewizor... - zachwycił się Ferdynand.

- Nic nie widzę! Nic nie widzę! - darł się potężnie zbudowany mężczyzna. - W każdym razie na lewe oko! Co ja mam teraz z tym zrobić?

- Najlepiej zlizać - powiedział Donald. - Moja piana jest bezkonkurencyjna. Żona kazała mi ją ubić, bo będzie piekła bezy. Niech pan tylko spróbuje, jaka słodziutka... A może dać na drugie oczko, co? Potężnie zbudowany mężczyzna na wszelki wypadek odwrócił się tyłem do telewizora.

- Pan, panie Wspaniały - zwrócił się do Ferdynanda wycierając dokładnie chusteczką lewe oko - pan mi za to wszystko zapłaci. Poproszę o dowód rejestracyjny pańskiego telewizora.

- O co? - spytał Ferdynand.

- O dowód, który stwierdza, że pański telewizor jest zarejestrowany i że opłaty za korzystanie z urządzenia telewizyjnego są opłacone, z bieżącym miesiącem włącznie.

- Pierwsze słyszę, że trzeba mieć coś takiego... - powiedział Ferdynand. - Byłem przekonany, że wystarczy kupić telewizor i już można sobie oglądać program bez niczego...

- Niestety, panie Wspaniały, niestety - powiedział ironicznym tonem potężnie zbudowany mężczyzna. - Nie żałował pan pieniędzy na kupienie tego oto telewizora, który stoi tam za moimi plecami, a żałuje pan kilkudziesięciu złotych miesięcznie na abonament...

- Na co?

- Mówię wyraźnie: na a-bo-na-ment. Nie wie pan, co to jest?

- Nie wiem - odpowiedział Ferdynand szczerze, bo rzeczywiście nie wiedział.

- To pan się dowie, panie Wspaniały, to pan się dowie! A wie pan, gdzie pan się o tym dowie?

- Nie mam pojęcia - powiedział Ferdynand.

- W sądzie, panie Wspaniały, w sądzie. Tam pana nauczą przestrzegania przepisów, wywiązywania się ze swoich zobowiązań i szacunku dla urzędników pełniących swe odpowiedzialne funkcje. Za to wymachiwanie rękami przed moim nosem... Za to rzucanie pianą w oczy... Za wszystko pan mi zapłaci, panie Wspaniały!

- Donaldzie! Słyszałeś? - krzyknął zrozpaczony Ferdynand w kierunku telewizyjnego ekranu. Ale na ekranie nie było już Donalda. Była popularna spikerka, która odczytywała właśnie jakiś komunikat i nie zwracała na Ferdynanda najmniejszej uwagi. Natomiast potężnie zbudowany mężczyzna z dużą satysfakcją wziął się do spisywania protokołu.

Ii

Prawie natychmiast przyszło wezwanie do sądu. Ledwo za potężnie zbudowanym mężczyzną zamknęły się drzwi, zabrzmiał dzwonek, a kiedy Ferdynand otworzył, ujrzał przed sobą znajomego listonosza.

- Niech pan pokwituje, panie Wspaniały - powiedział listonosz.

- Dlaczego? - spytał Ferdynand. - Dotychczas zawsze otrzymywałem listy bez pokwitowania.

- Ale to nie jest list taki sobie.

- A jaki sobie?

- To jest list urzędowy - powiedział uroczyście listonosz, wręczając Ferdynandowi kawałek papieru i wskazując kłopotliwym ołówkiem miejsce, w którym Ferdynand powinien był złożyć swój podpis.

- A jak nie podpiszę? - spytał Ferdynand.

- To będzie pan miał przykrości, panie Wspaniały - powiedział listonosz.

- A jak podpiszę?

- To też pan będzie miał przykrości.

- Jak to? - zaciekał się Ferdynand. - I tak będę miał przykrości, i tak? Zupełnie tego nie rozumiem.

- Widzi pan, panie Wspaniały - zaczął tłumaczyć listonosz - jeśli pan nie podpisze, to będzie pan miał dwie przykrości, a jeśli pan podpisze, to tylko jedną. Rozumie pan?

- Nie bardzo - odparł z rozbrajającą szczerością Ferdynand.
- Wcale się nie dziwię - powiedział listonosz - bo to wszystko nie jest bynajmniej takie proste. Czy pan wie, co to jest? - zapytał machając sporą kopertą opatrzoną najrozmaitszymi pieczęciami.
- Wygląda to na jakiś ładny list - powiedział Ferdynand.
- Ładnie mi - ładny! - powiedział listonosz.
- Panu się nie podoba? - spytał Ferdynand zdziwiony. Nie mógł pojąć, że taki ładny list może się komuś nie podobać.
- To nie o to chodzi - odpowiedział listonosz nieco zniecierpliwiony. - Może nawet on jest ładny, ale to jest przecież wezwanie do sądu!
- Dla kogo?
- Dla pana.
- Dla mnie?
- A tak, dla pana, panie Ferdynandzie.
- To bardzo miło z ich strony, że przysyłają mi zaproszenie do sądu - powiedział Ferdynand głosem pełnym radości.
- Nie zaproszenie, lecz wezwanie - poprawił listonosz.
- Co to za różnica?
- Bardzo duża - powiedział listonosz. - Zresztą sam pan się o tym przekona. Otóż, jeśli nie podpisze pan tego pokwitowania, będzie pan miał, jak już powiedziałem, dwie przykrości, a jeśli pan podpisze, to tylko jedną.
- Jaką? - spytał Ferdynand, mocno tym wszystkim zaintrygowany.
- Rozprawę sądową - odparł urzędowym tonem listonosz.
- A jeśli pokwitowania nie podpiszę, to co?
- To wtedy będzie pan miał - tym samym poważnym tonem ciągnął listonosz - dwie rozprawy sądowe. Jedną za niepodpisanie pokwitowania, a drugą normalną, tę, którą już pan ma!
- Kiedy ja nie mam żadnej rozprawy sądowej - zaprotestował Ferdynand.
- To się tylko tak panu zdaje - powiedział listonosz. - Ta koperta jest najlepszym dowodem, panie Ferdynandzie, że pan ma rozprawę sądową, to znaczy mówiąc innymi słowami, rozprawa sądowa oczekuje pana w najbliższym czasie.
- Wobec tego, kochany panie listonoszu, niech pan mi powie, co ja mam właściwie robić: podpisać to pokwitowanie czy nie? - zapytał zrozpaczony Ferdynand.
- Proszę pana - powiedział listonosz po chwili zastanowienia. - Zawsze lepiej mieć jedną przykrość niż dwie.
- To znaczy?
- Niech pan podpisze.

Ferdynand wziął z ręki listonosza kopiowy ołówek i, jak umiał najładniej, podpisał we wskazanym miejscu:

- Ładny podpis, co? - spytał z dumą.
- Nadzwyczajny - przyznał listonosz. - Rzadko kto już dzisiaj tak się podpisuje. A teraz proszę wziąć ten list. Żegnaj pana, panie Wspaniały. I niech pan będzie dobrej myśli.

Za listonoszem zamknęły się drzwi i Ferdynand został sam.

- Nie ma rady - mruknął do siebie. - Trzeba będzie otworzyć tę kopertę.

Na rogu koperty zrobił małą szparkę i zaczął zerkać do środka. Ponieważ jednak nic nie mógł w ten sposób dojrzeć, rozszerzał tę szparkę coraz bardziej, aż wreszcie rozdarł kopertę całkowicie. Z jej wnętrza wysunął się różowy urzędowy papier.

U samej góry różowej kartki było wydrukowane wielkimi drukowanymi literami słowo:

\\
 ``wezwanie"

\\
 A niżej, już mniejszymi literami, następujący tekst:

\\
 ``Wzywa się niniejszym ob. Ferdynanda Wspaniałego (Ferdynanda Wspaniałego było wpisane

ręcznie) do stawienia się przed Sądem Takimtoatakim, w mieście Takimtoatakim, w dniu Takimtoatakim, o godzinie Takiejtoatakiej, w charakterze ``oskarżonego". (``oskarżonego" było podkreślone atramentem). Oskarżony Ferdynand Wspaniały jest oskarżony o telepajęczarstwo, to znaczy posiadanie odbiorczego urządzenia telewizyjnego nie zarejestrowanego w sposób ustalony przepisami, jak również o niepłacenie ustalonych przepisami opłat abonamentowych. W wypadku niestawienia się przed Sądem w oznaczonym dniu, oskarżony zostanie ukarany trzema miesiącami aresztu, trzydziestoma tysiącami złotych grzywny, lub obiema tymi karami jednocześnie. Prócz tego ob. Ferdynand Wspaniały odpowiadać będzie za obrazę urzędnika państwowego będącego na służbie".

\\

Na dole, pod tym całym tekstem, była masa pieczętek i dwa zamaszyste, ale całkiem nieczytelne podpisy.

- I to wszystko na mnie jednego! - westchnął Ferdynand i w oczach zakręciły mu się łzy.

Wcale mu się nie dziwił. Każdy, kto w tej chwili spojrzełby na Ferdynanda, też z pewnością miałby łzy w oczach.

- Telepajęczarz - jęczał zrozpaczony.

- Oskarżony!

- Nie zarejestrowane urządzenie odbiorcze!

- Niepłacenie ustalonych przepisami opłat!

- Trzy miesiące aresztu!

- Trzydzieści tysięcy złotych grzywny! Obie kary jednocześnie!

Obraza urzędnika państwowego!

- Wezwanie!

- Sąd!

- Pieczętki!

- Podpisy!

- O rety!!! O rety!!! O rety!!!

Iii

W wyznaczonym terminie Ferdynand zjawił się w sądzie.

- Pan w jakiej sprawie? - spytał go przy wejściu woźny sądowy.

- W swojej własnej - odpowiedział Ferdynand.

- To mi nic nie mówi - zdenerwował się woźny. - Ma pan wezwanie?

- Owszem, mam - powiedział Ferdynand i wyciągnął różową kartkę.

- Pokaż no pan - mruknął woźny i wsadziwszy na nos okulary zaczął dokładnie czytać podany mu przez Ferdynanda papierek. - Fer-dy-nand Wspaniały... To pan, co?

- Ja - przytaknął Ferdynand.

- Osobiście?

- Osobiście.

- We własnej osobie?

- We własnej osobie.

Woźny przesunął okulary na czoło i zaczął badawczo wpatrywać się w Ferdynanda.

- Niedobrze, panie Wspaniały - powiedział w końcu.

- Dlaczego niedobrze? - spytał Ferdynand.

- Dlatego niedobrze, że pan jest oskarżony.

- A jestem, jestem - przyznał z satysfakcją Ferdynand. - Pierwszy raz w życiu jestem oskarżony, proszę pana - dodał, jakby to był jakiś specjalny powód do dumy.

- W sądzie niedobrze jest być oskarżonym - powiedział filozoficznie woźny. - Już lepiej być świadkiem, a jeszcze lepiej - adwokatem.

- A co zrobić, żeby być adwokatem? - zapytał naiwnie Ferdynand.

- Obawiam się, proszę pana - powiedział woźny - że w tej chwili nic się nie da zrobić. Adwokatem

nie można zostać tak ni stąd, ni zowąd. Trzeba przede wszystkim bardzo długo siedzieć w sądzie...

- Ja mogę siedzieć - powiedział Ferdynand skwapliwie.

- Wygląda na to, że rzeczywiście będzie pan siedział, panie Wspaniały - powiedział woźny, przyglądając się różowemu wezwaniu. - A zresztą nie uprzedzamy sędziego. Od niego to przecież zależy. Zaraz pójde i zobaczę, co się tam dzieje na sali rozpraw. Niech pan zaczeka w korytarzu.

- Proszę oznajmić panu sędziemu, że przyszedł Ferdynand Wspaniały - powiedział Ferdynand - i że przesyła mu całusa.

- Ostrzegam pana - powiedział na odchodnym woźny - że w sądzie należy się zachowywać poważnie. Inaczej może pan sobie zaszkodzić.

Woźny zniknął za wielkimi drzwiami, na których był napis:

\\

``sala rozpraw nr" 6

\\

Ferdynand rozejrzał się po korytarzu. Takich wielkich drzwi było więcej. Wszystkie były odpowiednio ponumerowane. Przed każdymi stały grupki ludzi. To byli świadkowie, adwokaci i czasami oskarżeni, ale bardzo rzadko. Większość bowiem oskarżonych była przyprowadzana na rozprawy z więzienia. Ferdynand oczywiście o tym nie wiedział. Spacerowym krokiem podszedł sobie do jednej z takich grup, żeby trochę porozmawiać, wszystko jedno o czym. Ferdynand bowiem był w gruncie rzeczy istotą wielce towarzyską.

- Jestem oskarżony - powiedział, zatrzymując się o krok przed kilkoma osobami, które zawzięcie nad czymś dyskutowały.

Osoby natychmiast zamilkły i spojrzały ze zdziwieniem na Ferdynanda.

- Jestem oskarżony - powtórzył Ferdynand, przyglądając się jednocześnie, jakie to robi wrażenie.

- W jakiej sprawie? - spytała wreszcie któraś z osób.

- W mojej! W mojej własnej! - odparł Ferdynand, wypinając pierś.

- O co pan jest oskarżony? - spytała z grzeczności następna osoba, bo nie chciała robić Ferdynandowi przykrości. Inaczej rozmowa niewątpliwie by się urwała.

- Jestem oskarżony o telewizor - powiedział Ferdynand.

- Ukradłeś pan? - zapytał z zainteresowaniem gruby typ o zarośniętej twarzy.

- Nic podobnego - odparł Ferdynand. - Kupiłem.

- Pewnie pan szanowny zapłacił fałszywymi banknocikami? - szepnęła damulka o złośliwej twarzy i długim, spiczastym nosie.

- Jak pani może nawet mówić coś takiego - oburzył się Ferdynand. - Banknoty były takie, jakie powinny być.

- I zapłacił pan wszystko? Wszystko co do grosza, z wyjątkiem...

W tym momencie zjawił się woźny i kiwnął na Ferdynanda.

- Pańska kolej - powiedział. - Niech pan wchodzi.

Ferdynand wszedł na salę rozpraw nr 6. Stał sobie skromnie przy drzwiach i czekał, rozglądając się ciekawie po sali.

- Bliżej! - usłyszał jakiś skrzekliwy głos, ale nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

- Bliżej!! - powtórzył skrzekliwy głos głośniej.

``Niektorzy ludzie - pomyślał sobie Ferdynand - mają okropnie nieprzyjemny dźwięk głosu. Zupełnie jakby skrzeczała żaba."

- Bliżej!!! - rozległo się po raz trzeci, tym razem na tyle głośno, że Ferdynand mógł się zorientować, skąd ten skrzek płynie.

- Czy pan do mnie mówił? - spytał, zwracając się do małego, siedzącego za stołem na wysokim podium człowieczka, którego wreszcie dojrzał.

- Do was, do was - zaskrzeczał człowieczek. - Podejdźcie no bliżej!

- My?

- Wy.

- Kiedy z nas to jestem tylko ja jeden - powiedział Ferdynand.

- Właśnie o was chodzi - wyjaśnił człowieczek.

- Do mnie się nie mówi w liczbie mnogiej przez wy - powiedział urażonym tonem Ferdynand. - Wy to jest liczba mnoga, a ja jestem liczba pojedyncza. Do mnie można mówić najwyżej ty.

- Nie jesteście moim kolegą, żebym do was mówił ty - zaskrzeczał człowieczek i ze złości zerwał się na równe nogi. - Jesteście oskarżony czy nie?

- Jestem - odpowiedział z uśmiechem Ferdynand.

- Do oskarżonych mówi się wy! Rozumiecie?

- Rozumiemy - odparł Ferdynand.

- Wy nie macie prawa mówić: rozumiemy - zdenerwował się człowieczek po raz drugi. - Wy macie mówić krótko: rozumiem. Rozumiecie?

- Rozumiemy - odparł Ferdynand.

- Wy nie macie prawa mówić: rozumiemy - zdenerwował się człowieczek po raz trzeci. - Wy macie mówić krótko: rozumiem. Rozumiecie?

- Rozumiemy, to znaczy rozumiem - poprawił się szybko Ferdynand. A wy nie macie się co tak denerwować.

- Wyyyyyyy??? - zawył z wściekłości człowieczek. - Co za wyyyyyyy???

- No, wy, co siedzicie za stołem na tym podwyższeniu - powiedział Ferdynand.

- Do mnie się nie mówi wy! - wrzasnął.

- Mogę ci mówić ty, jeśli wolisz - zaproponował Ferdynand.

- Ja ci dam ty!!! - zaczął z oburzeniem wymachiwać rękami człowieczek. - Ja ci dam ty!!! Do mnie się mówi: panie sekretarzu, zapamiętajcie sobie raz na zawsze, rozumiecie?

- Rozumiecie, rozumiemy, rozumiem, wy, ty, panie sekretarzu - odpowiedział Ferdynand jękając się co chwila.

- No, już dobrze - mruknął człowieczek. - A teraz wstać!

Ferdynand szybko usiadł na krześle, które stało obok.

- Czego siadacie? - ryknął człowieczek.

- Bo kazał pan, panie sekretarzu, wstać.

- Kazałem wam wstać, a wy siadacie!

- Usiadłem, żeby wstać, panie sekretarzu. Nie mogłem wstać stojąc - powiedział Ferdynand wyjaśniająco.

- Coś w tym jest - zastanowił się człowieczek. - Być może macie rację. Istotnie, trudno wstać, kiedy się stoi. Wobec tego siadajcie.

Ferdynand usiadł na krześle.

- Wstać! - zawołał człowieczek. - Sąd idzie!

Ferdynand podniósł się z krzesła. W tym samym momencie na salę rozpraw wkroczył sąd. Sąd składał się z trzech panów ubranych na czarno. Dostojnym krokiem weszli na podwyższenie i zajęli swoje miejsca.

- Proszę sprawdzić personalia - zwrócił się do sekretarza ten z czarnych panów, który zajął środkowe miejsce.

Sekretarz podniósł się ze swego siedzenia, wziął do ręki plik akt i patrząc w stronę Ferdynanda, zaczął zadawać pytania.

- Nazwisko?

- Wspaniały - powiedział Ferdynand.

- Imię?

- Ferdynand.

- Telewizor macie?

- Mam.

- Dziękuję, na razie wystarczy - odezwał się sędzia siedzący pośrodku.

Mały człowieczek usiadł i wziął do ręki pióro, żeby wszystko, co zostanie powiedziane, dokładnie zaprotokółować.

- Muszę was ostrzec - zwrócił się główny sędzia do Ferdynanda - że macie mówić tylko prawdę, w przeciwnym wypadku grożą wam surowe sankcje.

- Przepraszam bardzo - powiedział Ferdynand. - Nie zrozumiałem. Co mi grozi?

- Sankcje. To znaczy, że możecie zostać dodatkowo ukarani. I jeszcze jedno. Kiedy zwracacie się do mnie, obowiązani jesteście zwracać się per wysoki sędzie.
- Czy to jasne?
- Jasne, wysoki sędzie - powiedział Ferdynand, a w duchu sobie pomyślał: ``To pewnie dlatego, że ten, co siedzi w środku, jest najwyższy z nich trzech. Drugi z sędziów jest średni, a trzeci zupełnie niski."
- To doskonale - powiedział środkowy sędzia. - Wobec tego zaczynajmy. Jesteście oskarżeni o telepajęczarstwo i obrazę urzędnika na służbie. Rozważmy punkt pierwszy aktu oskarżenia: telepajęczarstwo. Czy oskarżony posiada telewizor?
- Tak jest, proszę wysokiego sądu, posiadam - odpowiedział Ferdynand.
- Czy oskarżony używa tego telewizora?
- Tak jest, wysoki sędzie, używa.
- Czy oskarżony zarejestrował ów telewizor, którego używa?
- Oskarżony nie zarejestrował tego telewizora, proszę wysokiego sądu.
- A dlaczego to? - wtrącił się sędzia średniego wzrostu.
- A dlatego, że mu to zupełnie nie przyszło do głowy, proszę średniego sądu - powiedział otwarcie Ferdynand.
- Do mnie się też mówi: proszę wysokiego sądu - zaznaczył oschle sędzia średniego wzrostu - niech sobie to oskarżony zapamięta na przyszłość.
- Więc nie zarejestrowaliście tego telewizora, a tym samym nie płaciliście należnych opłat, prawda?
- przejął inicjatywę w swe ręce sędzia główny.
- Nie płaciłem, wysoki sędzie - przyznał Ferdynand.
- I nie wykręcacie się od tego?
- Nie wykręcam.
- Zajmijmy się wobec tego drugim punktem aktu oskarżenia: obrazą urzędnika na służbie. Czy oskarżony przyznaje się do wymachiwania rękami przed nosem urzędnika państwowego i do rzucania ubitą pianą w jego oczy, konkretnie mówiąc w lewe oko?
- Nie przyznaję się, proszę wysokiego sądu - powiedział Ferdynand.
- Dlaczego oskarżony się nie przyznaje?
- Dlatego, że to nie ja machałem rękami i nie ja rzucałem pianą.
- A kto? - znów wtrącił swoje trzy grosze sędzia średniego wzrostu.
- Donald, proszę śred... to jest wysokiego sądu.
- Co za Donald? - spytał sędzia główny.
- Kaczor Donald, proszę wysokiego sądu. On akurat ubijał pianę na bezy, kiedy ten urzędnik wszedł do pokoju...
- Ubijał czym?
- Nogami, wysoki sędzie. Bardzo to zabawnie wyglądało.
- Możliwe - powiedział główny sędzia. - Ale tu nie chodzi o zabawę. Tu chodzi o fakty. Czy macie na to świadków?
- Mam! - zawołał z ulgą Ferdynand. - Mam jednego świadka. Czy można mieć, wysoki sędzie, jednego świadka?
- Można. Co to za jeden?
- Donald!
- Ten, który ubijał nogami pianę? - zapytał ze zdziwioną miną trzeci, najniższy sędzia, który do tej pory nie zabierał głosu.
- Tak jest, proszę niskiego sądu! Ten sam!
- Ja jestem też wysoki sąd! - wrzasnął niski sędzia.
- ``Sami wysocy" - pomyślał sobie Ferdynand, a głośno powiedział:
- Tak jest, proszę nis... to jest chciałem powiedzieć: wysokiego sądu!
- I chcielibyście, żeby ten Donald był świadkiem w waszej sprawie? - zapytał sędzia główny.
- Tak, proszę wysokiego sądu. On przyświadczy, że było tak, jak mówię.
- A gdzie on mieszka, ten cały Donald?

- Nie mam pojęcia - powiedział Ferdynand. - Od czasu do czasu pokazuje się w telewizji. Może tam, proszę wysokiego sądu, będą znali jego adres.
- Zawieszam rozprawę przeciwko Ferdynandowi Wspaniałemu - oświadczył główny sędzia - do czasu sprowadzenia w charakterze świadka niejakiego Kaczora Donalda o nieznanym w tej chwili miejsku zamieszkania. Pan, panie sekretarzu - zwrócił się do małego, skrzekliwego człowieczka - zajmij się skrupulatnie tą sprawą i postara, aby na następną rozprawę Kaczor Donald zjawił się osobiście.
- Tak jest, panie sędzio - zaskrzeczał człowieczek. - Jeszcze dzisiaj napiszę do telewizji z prośbą o adres świadka.
- Możecie iść do domu - powiedział sędzia główny do Ferdynanda i razem z pozostałymi dwoma sędziami opuścił salę rozpraw.
- Żegnam cię, wysoki, średni i niski sądzie - szepnął z ulgą Ferdynand, kiedy już zamknęły się za nimi drzwi.

Iv

Bardzo szybko przyszło do Ferdynanda wezwanie na następną rozprawę.

Też było różowego koloru, jak poprzednie, i też było napisane w bardzo urzędowy sposób. Tym razem Ferdynand bardzo się z tego wezwania ucieszył. Przekonał się bowiem za pierwszym razem, że sąd to nie jest nic strasznego, a poza tym nudziło mu się nieco, więc pomyślał sobie, że zawsze będzie to jakaś rozrywka w jego monotonnym życiu.

W wyznaczonym dniu ubrał się wyjątkowo starannie i lekkim, spacerowym kroczkiem udał się do gmachu sądu.

Przy wejściu powitał go ten sam, co poprzednim razem, woźny.

- Jak się pan ma, szanowny panie? - spytał go wesoło Ferdynand.
 - Źle - odpowiedział krótko woźny.
 - Czy panu coś dolega? - zainteresował się Ferdynand.
 - Zakrztusiłem się, proszę pana, przy śniadaniu - wyjaśnił woźny i kilka razy porządnie sobie chrząknął.
 - Czy można wiedzieć, czym pan się zakrztusił? - zapytał Ferdynand z głęboką troską w głosie.
 - Kawą, proszę pana, kawą z mlekiem - powiedział woźny, znów kilkakrotnie pochrząkując.
 - Widzę, że pana porządnie to męczy...
 - Nie ma pan nawet pojęcia, jak bardzo - powiedział woźny krztusząc się i parszcząc.
 - Znam jeden sposób - powiedział Ferdynand - który powinien panu przynieść ulgę. Sam się kiedyś zakrztusiłem do tego stopnia, że myślałem, że umrę, ale dzięki temu znakomitemu sposobowi, jak pan widzi, żyję i cieszę się doskonałym zdrowiem.
 - A czym pan się zakrztusił? - spytał woźny chrząkając tak strasznie, że aż się czerwony robił na twarzy.
 - Zakrztusiłem się, proszę pana, rzeczą o wiele niebezpieczniejszą od kawy z mlekiem, zakrztusiłem się...
 - Pewnie rogalikiem! - przerwał mu woźny.
 - Nie, nie zgadł pan - powiedział ze śmiechem Ferdynand. - Zakrztusiłem się, proszę pana, kością.
 - Pewnie jakąś chrząsteczką z kurczaka?
 - Ale skąd! - zaprotestował Ferdynand. - Zakrztusiłem się wielką wołową kością.
 - Jak to możliwe? - spytał z niedowierzaniem woźny.
 - To, proszę pana, długa historia. W tej chwili nie ma czasu, żeby ją panu opowiadać - powiedział Ferdynand, spoglądając na wielki zegar. - Za chwilę jest moja rozprawa i muszę już iść. Ale chciałbym panu pomóc. Niech się pan odwróci tyłem.
- Krztuszący się bez przerwy woźny odwrócił się tyłem, a wtedy Ferdynand kilka razy porządnie przyłożył mu ręką po karku.
- Lepiej? - spytał.
 - O, o wiele lepiej! - odetchnął z ulgą woźny. - Niech mnie pan rąbnie jeszcze kilka razy.

- Proszę uprzejmie - powiedział Ferdynand, który uwielbiał ludziom pomagać, o ile tylko mógł. - To jest najlepszy sposób, jaki znam. Mój pan zawsze go stosuje...

- Jaki pański pan? - spytał zaintrygowany woźny, któremu już wszystko przeszło.

- Innym razem panu o tym opowiem! - zawołał Ferdynand. - Teraz już na mnie czas.

I grzotniejszy jeszcze kilka razy woźnego na zapas, puścił się pędem w stronę sali rozpraw numer 6, gdzie już na wysokim podium zebrał się komplet sędziowski.

- Oskarżony się spóźnia - zauważył najniższy z sędziów.

- Miałem pewne powody, proszę nis... to jest wysokiego sądu - powiedział Ferdynand.

- Znam te powody - powiedział najniższy sędzia. - W odpowiednim czasie będę miał jeszcze zaszczyt o nich wspomnieć.

- Przystępujemy teraz do sprawy - powiedział sędzia główny. - Co jest ze świadkiem, bo jakoś go nie widzę?

- Świadek nie zjawił się, panie sędzio, i nie zjawi - zaskrzeczał sekretarz.

- Czy odnaleziono jego adres?

- Odnaleziono, panie sędzio. Z wielkim trudem. Najpierw zwróciliśmy się do telewizji. Telewizja oświadczyła, że u nich nie mieszka, ale poradziła, żeby napisać do Ameryki, gdzie podobno świadek przyszedł na świat. Napisałem. Przeszła odpowiedź, że według wszelkiego prawdopodobieństwa świadek Kaczor Donald powinien przebywać gdzieś w Kalifornii. Napisałem do Kalifornii, skąd, trzeba to przyznać, bardzo szybko przysłali nam adres świadka. Okazało się, że świadek w żadnym wypadku na rozprawę zjawić się nie może, ponieważ praca zawodowa i obowiązki rodzinne nie pozwalają mu na to, ale żeby być w porządku wobec wymiaru sprawiedliwości, świadek przysłał napisane przez siebie oświadczenie dotyczące całej tej sprawy, którą dokładnie sobie przypomina.

``Porządny ten Donald - pomyślał sobie w głębi duszy Ferdynand. - Wiedziałem, że nie zostawi mnie samego w tej beznadziejnej sytuacji".

- Czy ma pan, panie sekretarzu, to oświadczenie?

- Tak jest, panie sędzio, mam - zaskrzeczał sekretarz. - Oto ono! - dodał, wyciągając z teczek pełnej akt ogromną płachtę papieru.

- Niech pan czyta! - rozkazał sędzia główny.

- Kwa, Kaczor Donald - zaczął swoim skrzekliwym głosem czytać sekretarz - kwakwa kwakwakwa kwa kwa, kwa kwakwakwakwakwa kwakwa, kwakwakwa kwa kwakwa kwakwakwakwa kwakwa kwa, kwakwakwakwakwa kwakwa kwa...

- Dosyć! - zawołał sędzia. - Czy dużo tam jeszcze tego oświadczenia?

- O, dużo, panie sędzio - odpowiedział sekretarz.

- Wystarczy, więcej niech pan nie czyta.

- Ciekawe, w jakim to jest języku - powiedział sędzia średniego wzrostu. - Chyba nie po angielsku.

- Oczywiście, że nie - odpowiedział najniższy. - To jest, o ile się nie mylę, napisane w języku kaczym.

- Zdaje się, że pan kolega ma rację - powiedział sędzia główny. - To istotnie będzie w języku kaczym. Czy ktoś z nas, panowie, zna język kaczy?

Wszyscy trzech sędziowie, a po chwili również i sekretarz, potrząsnęli przecząco głowami.

- Wobec tego trzeba będzie znaleźć tłumacza, który by to przetłumaczył z kaczego na nasz. Pan ma, panie sekretarzu, listę tłumaczy...

- Owszem, panie sędzio.

- Niech pan znajdzie odpowiedniego tłumacza.

Sekretarz wziął długą listę i zaczął ją dokładnie przeglądać. Doszedł do końca, a potem jeszcze raz zaczął od początku.

- Tłumacza z kaczego nie ma, panie sędzio - zapiszczał wreszcie.

- Unieważniamy w takim razie całe to oświadczenie - powiedział sędzia główny - i prowadzimy rozprawę tak, jakby go nie było.

- No, to jestem ugotowany - mruknął sobie pod nosem Ferdynand.

- W tym stanie rzeczy - zabrał głos średni sędzia - głównym i jedynym odpowiedzialnym za

wymienione w akcie oskarżenia czyny może być tylko i jedynie - Ferdynand Wspaniały.

- Tym bardziej - dodał najniższy z sędziów - że Ferdynand Wspaniały zdolny jest do czynów zarzucanych mu w akcie oskarżenia. Sam to widziałem na własne oczy. Kiedy oskarżony spóźnił się na salę, zapytany o przyczynę spóźnienia odparł, iż miał ku temu pewne powody. Jakże to były powody? Otóż oskarżony Wspaniały przed udaniem się na salę rozpraw bił naszego sądowego woźnego pięściami. I to bił z tyłu!

- Chciałem mu tylko sprawić ulgę, wysoki sędzie! - zawołał Ferdynand.

- Walenie starego człowieka w plecy oskarżony nazywa sprawianiem ulgi? - zapytał ironicznie główny sędzia.

- To jest, wysoki sędzie, najlepszy sposób na zakrzuszenie - powiedział Ferdynand.

- Dostyc tych żartów! - zawołał naajwyższy sędzia. - Jasne już jest dla mnie po tym wszystkim, co tu usłyszałem, że oskarżony Ferdynand Wspaniały popełnił istotnie wszystkie te czyny, jakie mu się zarzuca. Biorąc to pod uwagę, skazuję oskarżonego Ferdynanda Wspaniałego na zapłacenie pięćdziesięciu tysięcy złotych grzywny, z zamianą w razie nieściągalności na pięć miesięcy więzienia.

- Brawo! - zawołał Ferdynand klaszcząc w dłonie. - Ślicznie wysoki sąd to powiedział! Brawo, brawo, jeszcze raz brawo!

Sędziowie popatrzyli na siebie i szybko wynieśli się z sali rozpraw. Za nimi wysunął się jak cień sekretarz o piskliwym głosie. Kiedy już byli za drzwiami, główny sędzia powiedział do pozostałych:

- To chyba jakiś wariat!

- Nam się też tak wydaje - szepnęli pozostali.

V

- Nie ma rady, drogi panie Ferdynandzie, musi pan zapłacić - powiedział woźny sądowy, kiedy mu Ferdynand opowiedział to wszystko, co zdarzyło się na sali rozpraw numer 6. - Wyrok jest prawomocny i nie podlega odwołaniu.

- Ale skąd ja wezmę tyle pieniędzy? - martwił się Ferdynand.

- Na pewno ma pan coś w domu - powiedział woźny.

- Prawdę mówiąc, to nigdy w życiu nie miałem pieniędzy - odparł Ferdynand. - W ogóle nie myślałem o pieniądzach.

- Wobec tego może ktoś panu pożyczy?

- Nie znam nikogo takiego - powiedział smutnym głosem Ferdynand.

- No to nie ma innego wyjścia, tylko musi pan te pieniądze zarobić. Inaczej pójdzie pan do więzienia.

- No to pójdę!

- Pan nie wie, panie Ferdynandzie, co to znaczy pięć miesięcy więzienia! To jest przeszło sto pięćdziesiąt dni, panie Ferdynandzie. Czy pan to rozumie?

- Wielkie mi co - powiedział Ferdynand zdesperowanym głosem. - Odsiedzę, i tyle.

- Czasami jeden dzień dłuży się człowiekowi na wolności, a co dopiero sto pięćdziesiąt dni, i do tego w więzieniu. Czy siedział pan kiedy w więzieniu?

- Nigdy.

- Mówili mi tacy, którzy siedzieli - powiedział woźny - że to nie jest nic przyjemnego.

- Życie nie może się składać z samych przyjemności - powiedział filozoficznie Ferdynand.

\\

``Życie to nie są same przyjemności.@ Nie zawsze słońce świeci,@ nie zawsze kot przeleci,@ nie zawsze są na obiad gości..."@

\\

- Bardzo ładny wierszyk - powiedział woźny. - Nigdy dotychczas go nie słyszałem. Czy to coś nowego?

- Przed chwilą go ułożyłem - wyjaśnił skromnie Ferdynand.

- Pan pisze wiersze? - zapytał z podziwem woźny.
- Czasami.
- Wierszyk jest śliczny, ale przyznam się panu, że nie wszystko w nim rozumiem.
- Na przykład?
- Nie rozumiem z tym kotem, że przeleci, i dlaczego to ma być przyjemność, że na obiad są kości?
- To jest, proszę pana, poezja! - powiedział Ferdynand. - W poezji nie wszystko musi być od razu zrozumiałe. Czasem jest ukryta jakaś głębsza myśl, czasem trzeba się zastanowić, kilka razy sobie wiersz powtórzyć i dopiero chwytą się, proszę pana, właściwy sens. Zresztą ten wiersz jest wyjątkowo prosty.
- Mimo wszystko - powiedział woźny - tego fragmentu o tych kościach to zupełnie nie rozumiem.
- Nieważne - mruknął Ferdynand. - Poezja czasami powinna być jak motyl, przefrunąć obok nas i zniknąć.
- Panie! - wrzasnął woźny. - Mam pomysł! Mam pomysł taki, że hej!
- Niech pan go sobie zapisze - powiedział Ferdynand. - Jak się pomysłu od razu nie zapisze, to potem za żadne skarby nie można go sobie przypominieć.
- Kiedy to jest pomysł dla pana.
- Dla mnie? - zdziwił się Ferdynand.
- Dla pana! - krzyczał woźny. - Żeby pan mógł zarobić na grzywnę!
- A cóż to za pomysł? - spytał Ferdynand.
- Niech pan słucha - powiedział woźny. - Byłem raz w cyrku...
- I co z tego? - spytał ze znużoną miną Ferdynand.
- I tam był jeden gość...
- Nic znowu takiego nadzwyczajnego...
- I ten gość wychodził na arenę... Słucha pan?
- Słucham, słucham - powiedział Ferdynand.
- Wychodził na arenę...
- I pewnie tresował zwierzęta - dokończył Ferdynand.
- Właśnie, że nie - powiedział woźny. - Wychodził na arenę...
- I robił sztuki.
- Też nie. Nie robił żadnych sztuk. Wychodził na arenę...
- Już wiem! - zawołał Ferdynand. - Był akrobatą.
- Nie był żadnym akrobatą - zaczął się denerwować woźny. - On wychodził na arenę...
- I grał pewnie na jakimś dziwnym instrumencie, na pile albo na kawałku drzewa!
- Nic podobnego, proszę pana! Na niczym nie grał! On na tej arenie...
- Tańczył...
- Nie.
- No to już nie wiem co on na tej arenie robił - powiedział Ferdynand zrezygnowanym głosem.
- On, proszę pana, na tej arenie mówił wierszami.
- Wierszami?
- A tak, wierszami. Do rymu. I zawsze tak jakoś śmiesznie, że wszyscy się śmiali.
- Zdarzają się tacy ludzie - powiedział Ferdynand.
- A gdyby tak pan! - zawołał woźny.
- Co, gdybym ja?
- Gdyby tak pan spróbował mówić wierszami w cyrku i zarabiać w ten sposób pieniądze?
- A na co mi pieniądze? - zapytał naiwnie Ferdynand.
- Jak to: na co? - zdumiał się woźny. - To pan już zapomniał, że ma pan zapłacić pięćdziesiąt tysięcy grzywny?
- A prawda - zgodził się Ferdynand.
- Umie pan mówić do rymu...
- Trochę umiem - powiedział Ferdynand - ale wydaje mi się, że wcale nie jestem śmieszny.
- Jest pan, panie Ferdynandzie! - zawołał woźny. - Jest pan. Z całą pewnością jest pan śmieszny! Nawet nie ma pan pojęcia, jak bardzo!

Ferdynand poczuł się urażony.

- Byłem przekonany - powiedział - że jestem raczej osobą poważną.

- To nie ma nic wspólnego jedno z drugim. Osoby poważne są często bardzo śmieszne, panie Ferdynandzie. Na pewno pan to sam zauważył. A zresztą wydaje mi się, że to miło być śmiesznym. Ja, proszę pana, dałbym nie wiem ile, żeby się tylko ludzie ze mnie śmiali.

- A nie śmieją się?

- Rzadko. Są to nie jest miejsce do śmiechu. Cyrk to co innego!

- Niestety - powiedział Ferdynand - nie mam żadnych znajomości w cyrku.

- Ale ja mam - powiedział woźny.

- Zna pan może jakiegoś dyrektora? - zapytał Ferdynand.

- Dyrektor, proszę pana, to nie jest w cyrku żadna figura.

- To pewnie zna pan kasjera?

- Też nie.

- To może dyrygenta orkiestry?

- Też nie. Ja znam tam, proszę pana, kogoś, kto panu pomoże i wszystko załatwi.

- Poddaję się - powiedział Ferdynand - nie zgadnę.

- Mój dobry kolega jest, proszę pana, woźnym w największym cyrku. Pójdzie pan do niego...

- I co? - spytał Ferdynand z zainteresowaniem.

- Pójdzie pan do niego i on każe dyrektorowi z panem porozmawiać. Pan wtedy powie dyrektorowi co i jak, że mówi pan do rymu i że w ogóle jest pan śmieszny gość, Może akurat tak się zdarzy, że pana zaangażuje...

- Czy to bardzo boli? - zapytał Ferdynand odrobinę przerażony.

- Czy co boli?

- To całe zagazowanie?

- Nie zagazowanie, a zaangażowanie. Nie wie pan, co to jest zaangażowanie?

- Nie wiem - powiedział otwarcie Ferdynand.

- Jak się artystę najmuje do jakiejś roboty, żeby coś zagrał w teatrze albo w filmie, to się nie mówi, że najmuje się go do roboty, tylko że się go angażuje. To jest tak bardziej elegancko.

- Bardzo lubię eleganckie rzeczy - powiedział Ferdynand. - Idę do tego cyrku!

- Zaraz panu napiszę karteczkę do tego kolegi - powiedział woźny biorąc pióro do ręki i z powagą maczając je w kałamarzu.

Vi

Dyrektor cyrku przyjął Ferdynanda natychmiast.

- Co pan potrafi? - spytał zapalając fajkę.

- Potrafię układać wierszyki na poczekaniu - powiedział Ferdynand.

Dyrektor otoczył się chmurą fajczanego dymu.

- Wierszyki, wierszyki... - powiedział przedrzeźniając Ferdynanda. - To nie jest żadna sztuka układać wierszyki na poczekaniu. Znam bardzo wielu takich, którzy to potrafią.

Ferdynandowi zrobiło się nijako.

``No to do widzenia, Ferdynandku! - pomyślał sobie. - Nic cię już teraz nie uratuje od siedzenia w kozie. Nie zarobisz piątek na układaniu wierszyków, nie zapłacisz grzywny i zapakują cię do więzienia, bo z wyrokami sądowymi żartów nie ma"``

- Owszem - dobiegło go spoza chmury fajczanego dymu - można układać w cyrku wierszyki, ale trzeba to robić w taki sposób, żeby z tego wyszedł cały numer. Czy pan wie, co to jest numer?

- Numer to jest jeden, dwa, trzy, cztery, pięć i tak dalej - powiedział Ferdynand.

- Ma pan niewątpliwie rację, panie Wspaniały - powiedział dyrektor. - Liczby też mogą być numerami. Ale w cyrku słowem numer określa się, jak by to panu powiedzieć, określa się... - zaczął się zastanawiać, jakie by tu wynaleźć najlepsze określenie - krótko mówiąc: słowem numer określa się numer cyrkowy. Rozumie pan?

- Wydaje mi się, że rozumiem - powiedział Ferdynand, starając się zrobić na dyrektora jak

najlepsze wrażenie.

- No więc chodzi o to, żeby taki numer był jak najbardziej ciekawy i jak najbardziej oryginalny. Spodziewam się, panie Wspaniały, że wie pan, co to znaczy: oryginalny?

- Przyznam się, panie dyrektorze, że nie bardzo - powiedział Ferdynand, obawiając się, że może być to jakieś niebezpieczne słowo, które potem w jakiś sposób będzie się na nim mścić.

- Oryginalny, proszę pana, to znaczy jedyny w swoim rodzaju, taki, jakiego jeszcze dotychczas nie było.

- Jak pan myśli, panie dyrektorze, czy ja jestem oryginalny? Czy ja jestem jedyny w swoim rodzaju? Czy ja jestem taki, jakiego jeszcze dotychczas nie było? - wyrecytował jednym tchem Ferdynand.

Dyrektor wyszedł na chwilę spoza fajkowego dymu i uważniej przyjrzał się Ferdynandowi. Potem obszedł go kilka razy wokół, tak blisko, że Ferdynand odniósł bez mała wrażenie, że dyrektor go obwąchuje.

- Niewątpliwie, panie Wspaniały, jest pan jedyny w swoim rodzaju, jest pan taki, jakiego jeszcze dotychczas nie było, jednym słowem: jest pan oryginalny! - powiedział po tych oględzinach.

- Hurra! - wrzasnął Ferdynand.

- Niech pan się nie cieszy - ostudził jego entuzjazm dyrektor. - Wygląd to jeszcze nie wszystko. Czasami ktoś ma oryginalny wygląd, a to, co reprezentuje w dziedzinie swojej sztuki, jest nijakie albo przeciętne.

Powiedziawszy to dyrektor zrobił kilka kroków i powrócił za swą chmurę. Ferdynand odniósł wrażenie, że rozmawia z duchem mieszkającym w tajemniczych oparach, który raz mu się ukazuje, a raz znika.

- Mówi pan, że umie pan układać na poczekaniu wierszyki? - ciągnął z głębi chmury prawie że niewidzialny dyrektor.

- Tak jest, panie dyrektorze.

- Gdzie pan dotychczas występował?

- Różnie...

- To znaczy? - nalegał dyrektor.

- Przeważnie prywatnie...

- U cioci na imieninach?

- O, bardzo często, proszę pana! - powiedział z dumą Ferdynand. - Nie ma pan pojęcia, ile ja mam ciocie.

- Zawodowo pan nie występował?

- Owszem, występowałem. Wiele razy robiliśmy zawody, kto ułoży najładniejszy wierszyk, i ja zawsze wygrywałem.

- Nie o tym myślę - powiedział dyrektor - ale mniejsza o to. Widzi pan, układanie wierszyków na poczekaniu wtedy by miało jakiś sens, gdyby można było z tego zrobić ciekawy numer. Gdyby na przykład publiczność zadawała panu pytania, a pan odpowiadał jej na te pytania układanymi na poczekaniu wierszykami.

- Proszę bardzo - powiedział Ferdynand. - Niech publiczność zadaje pytania.

- Ale to jeszcze nie wszystko - powiedział dyrektor. - Gdyby jeszcze do tego ćwiczył pan w trakcie układania wierszyków wysoko na trapezie pod kopułą cyrku...

- Mogę ćwiczyć - powiedział zrezygnowanym głosem Ferdynand.

- Trzymając się tylko jedną ręką trapezu...

- Wszystko mi jedno, mogę się trzymać jedną ręką.

- Trapezu, który się cały czas buja w tę i nazad...

- Niech się buja - zgodził się Ferdynand.

- A pan musi wisieć przy tym głową w dół...

- Zgoda, niech wiszę głową w dół!

- No to już! - zawołał radośnie dyrektor, wyłaniając się z chmury fajkowego dymu. - Mamy rewelacyjny numer do najbliższego programu!

- Chwileczkę - powiedział chłodnym tonem Ferdynand. - Jeszcze nie mamy, jeszcze nie mamy,

panie dyrektorze.

- Co się stało? - zdziwił się dyrektor. - Czy może nagle obleciał pana strach?

- Strach? - zaśmiał się Ferdynand. - Co pan sobie myśli, panie dyrektorze? jeszcze nigdy nikogo ze Wspaniałych nie obleciał strach.

- Więc o co panu chodzi? - zapytał dyrektor, wymachując potężną fajką.

- Chodzi mi o drobiazg, panie dyrektorze, o którym w innej sytuacji nawet bym nie wspominał.

Chciałbym mianowicie wiedzieć, ile ja za to układanie na poczekaniu wierszyków na pytania zadane przez publiczność, wisząc głową w dół i trzymając się jedną ręką trapezu, który przez cały czas ma się bujać w tę i nazad, będę otrzymywał?

Dyrektor wypuścił z ust wielki kłęb dymu.

- No cóż - powiedział - mogę dać panu za to sto tysięcy złotych.

- Za dużo, panie dyrektorze - powiedział Ferdynand.

- Pan to mówi serio? - zawołał dyrektor.

- Jak najbardziej serio. Niech mi pan da połowę tego - powiedział Ferdynand.

- Za taki numer chce pan tylko pięćdziesiąt tysięcy? - zdziwił się dyrektor.

- Zupełnie mi wystarczy, panie dyrektorze.

- Wobec tego podpiszmy kontrakt.

- Podpiszmy.

Kiedy podpisali, dyrektor podał dłoń Ferdynandowi.

- Cieszę się, że będę miał pana w swoim zespole! - Jeśli pan chce, możemy zaraz podpisać kontrakt na drugi z kolei program.

- Mam czas - mruknął pod nosem Ferdynand. - Może mnie już drugi raz nie nakryją na telepajęczarstwie...

- Co pan mówi? - spytał dyrektor. - Nie dosłyszałem.

- Nic ciekawego - powiedział Ferdynand. - Nieważne.

- W każdym razie, błagam pana, żeby pan zaraz, panie Ferdynandzie, zaczął uczciwie ćwiczyć ten numer.

- Niech pan będzie spokojny, panie dyrektorze - powiedział Ferdynand - zaraz od dzisiaj zaczynam, szczególnie to wiszenie głową w dół...

Kiedy pan z panią wrócili wieczorem do domu, Ferdynand leżał w fotelu w dziwnej nieco pozycji.

Tylne jego łapy wraz z ogonem znajdowały się na oparciu fotela, a przednie wraz z głową na podłodze przy fotelowych nogach. Fotel stał przed zapalonym telewizorem.

- Znow nie zgasiłeś telewizora wychodząc z domu - powiedziała pani do pana. - Jak zwykle...

- Myślisz, że zapomniałem? - powiedział pan. - Nic podobnego! Zostawiłem telewizor na chodzie, żeby się Ferdynandowi nie nudziło samemu w domu.

- Przecież on śpi...

- Śpi?

- I w dodatku, zobacz, w jakiej przedziwnej pozycji, z głową na dół.

- Rzeczywiście - powiedział pan podchodząc do fotela. - On jest w ogóle dziwny pies, ten nasz Ferdynand.

I klepnąwszy Ferdynanda kilka razy, pan ze śmiechem zawołał:

- Hej, Ferdynandzie, zbudź się!

Generał

I

- Panie generale - powiedział adiutant, stając przed Ferdynandem na baczność - właśnie otrzymaliśmy wiadomość, że w najbliższą niedzielę odbędzie się na Placu Zabaw wielka defilada. Pan, panie generale, proszony jest o przybycie i zajęcie miejsca na trybunie.

Ferdynand kątem oka zerknął w lustro, które akurat znajdowało się obok na ścianie, i ze zdumieniem zobaczył, że ma na sobie wspaniały generalski mundur, pełen złocen i szamerunków,

błyszczących guzików, orderów i akselbantów.

``Śmieszna historia - pomyślał sobie w duchu. - Przecież nigdy w życiu nie miałem takiego przedziwnego ubrania. Trzeba przyznać, że jest mi w nim do twarzy."

- Czy zgadza się pan, panie generale, przyjmować tę niedzielną defiladę? - spytał adiutant, stojąc cały czas w postawie na baczność.

- Co za głupie pytanie! - powiedział Ferdynand. - Pewnie że się zgadzam. Przyjmowanie defilady to bardzo przyjemne zajęcie. A pan kto jest właściwie?

- Ja jestem pańskim adiutantem, panie generale - powiedział wyprężony oficer.

- Nie wiem, co to jest takiego, ale mniejsza o to - mruknął Ferdynand. - Adiutant... to nawet ładne słowo. Kto wie, może i ja bym został sobie adiutantem - powiedział Ferdynand marząco.

- Pan generał nie może być adiutantem - powiedział schylając głowę adiutant.

- A dlaczegoż to, mój szanowny panie, ja nie mogę być adiutantem? - zaperzył się Ferdynand. - Jeśli pan może być adiutantem, to ja tym bardziej mogę, rozumie pan?

- Pan generał już jest generałem, panie generale - powiedział adiutant - a generałowie nie bywają adiutantami.

- Jak będę chciał, to będę, i koniec!

- Adiutanci są po to, panie generale, żeby służyć...

- A cóż ty sobie myślisz - wrzasnął Ferdynand, zapominając nagle o wszystkich formach towarzyskich - że ja służyć nie umiem? Żeby nie ten cały mundur, który jest trochę przyciasny, tobym ci pokazał, jak się służy! Przysiada się na tylnych łapach, przednie wysuwa się do przodu, o tak mniej więcej, widzisz?

- Widzę, panie generale - powiedział adiutant i nie mogąc się powstrzymać, wybuchnął śmiechem.

- Czego się śmiejesz? - spytał oburzony Ferdynand.

- To znakomity dowcip, panie generale. Umie pan służyć istotnie fantastycznie.

- A ty umiesz służyć? - spytał Ferdynand.

- Pewnie, że umiem - powiedział adiutant. - Niech pan tylko patrzy, panie generale!

Powiedziawszy to adiutant zgiął nogi w kolanach, przykucnął nieco, a rękami zaczął zabawnie przebierać w powietrzu.

- Ślicznie! - zawołał Ferdynand. - Widzę, żeśmy się wyjątkowo dobrali.

- Ogromnie się z tego cieszę, panie generale - adiutant stanął ponownie na baczność. - Więc mam powiedzieć, że pan generał zgadza się na przyjmowanie tej defilady...

- Naturalnie że się zgadzam. O której to się ma zacząć?

- O dziesiątej rano.

- Strasznie wcześnie! - jęknął Ferdynand. - W niedzielę rano lubię sobie dłużej pospać.

- Może by więc defiladę przełożyć? - zasugerował adiutant. - Na przykład na popołudnie.

- W niedzielę po południu może być deszcz - powiedział Ferdynand.

- To prawda - przyznał adiutant - bardzo często lubi padać w niedzielę po południu.

- Chociaż zdarza się, że i przed południem nieraz w niedzielę pada - zauważył Ferdynand.

- A zdarza się, zdarza - przytaknął adiutant.

- A czasami to pada i przed południem, i po południu...

- To może przenieść defiladę na inny dzień tygodnia - zaproponował adiutant.

- To nie jest zła myśl! - zawołał uradowany Ferdynand. - Tylko na jaki?

- Ba! Tyle jest tych dni w tygodniu, że rzeczywiście trudno wybrać coś odpowiedniego, panie generale - powiedział z westchnieniem adiutant.

- Może na poniedziałek... - mruknął Ferdynand.

- Poniedziałek nie jest zbyt dobry na urządzenie defilady, panie generale.

- Czemuż to? - zainteresował się Ferdynand.

- W poniedziałek wszyscy są oklapnięci po niedzieli.

- No to wobec tego zrobmy tę defiladę we wtorek...

- We wtorek nie można, bo w koszarach robi się tygodniowe porządki.

- No to w środę...

- Wykluczone! - powiedział adiutant. - W środę są ćwiczenia ``Padnij-powstań!''

- A jakby tak urządzić ją w czwartek, co?
- Czwartek... czwartek... Co my mamy właściwie w czwartek? - zaczął się zastanawiać adiutant. - Czwartek też odpada, panie generale, ponieważ w każdy czwartek pan generał przychodzi do nas na inspekcję.
- Jaki generał? - spytał Ferdynand z ciekawości.
- Pan, panie generale!
- Ja?
- Pan. I to osobiście.
- Wobec tego istotnie defilada nie może się odbyć w czwartek. Zrobimy ją w piątek!
- Oj, panie generale - jęknął adiutant - obawiam się, że w piątek nie powinno się urządzać defilady w żadnym wypadku.
- Dlaczego? - spytał zdumiony Ferdynand.
- Jeszcze żadna defilada nie udała się w piątek. Najstarsi wojskowi nie pamiętają defilady piątkowej, która by była w pełni udana. Zawsze coś się pokiełbasi. To żołnierzom się pomyli krok przed samą trybuną, to koń jakiś zacznie wierzgać, albo armata sama ni stąd ni zowąd wystrzeli. Nie, nie, stanowczo bym odradzał urządzenie defilady w piątek.
- Może i racja - powiedział Ferdynand. - Po co ryzykować? Przelóżmy ją w takim razie na sobotę. Co pan myśli o sobocie, mój kochany?
- Sobota jest istotnie idealnym dniem na defilady - powiedział adiutant. - Ma tylko jedną słabą stronę, panie generale...
- Mianowicie? - zainteresował się Ferdynand.
- Sobota mianowicie wypada tuż przed niedzielą. Wie pan, wszyscy się wtedy szykują na niedzielę. Idą do fryzjera, kąpią się, prasują w domu różne rzeczy i tak dalej, panie generale, i tak dalej... Komu się będzie chciało oglądać defiladę? A bez oglądających defiladę defilada nie ma przecież najmniejszego sensu, przyzna pan sam chyba?
- Słuszne spostrzeżenie - przyznał Ferdynand. - Bez oglądających defiladę defilada nie ma najmniejszego sensu. Trzeba to będzie zapisać, bo w tym zdaniu jest ukryta wielka prawda. Bez oglądających defiladę defilada nie ma najmniejszego sensu... Bez oglądających defiladę defilada nie ma najmniejszego sensu...
- Jeszcze kilka razy powtórzył sobie Ferdynand to zdanie, za każdym razem delektując się jego brzmieniem i jego głęboką prawdą. Wreszcie spytał:
- A w jakim dniu tygodnia, pańskim zdaniem, panie adiutancie, można liczyć na największą ilość oglądających?
- Mam wrażenie - powiedział po namyśle adiutant - że na największą ilość oglądających można liczyć w niedzielę.
- Uważa pan, że niedziela jest taka dobra do urządzania defilady? - zapytał Ferdynand wpatrując się badawczo w adiutanta.
- Jestem o tym przekonany, panie generale - odparł stanowczym głosem adiutant.
- Wobec tego nad czym się tu zastanawiać - powiedział Ferdynand. - Urządzimy defiladę w niedzielę, i koniec.
- Tak jest, panie generale. W niedzielę o dziesiątej rano, prawda?
- Nie można by trochę później? - jęknął Ferdynand. - Tak lubię w niedzielę dłużej pospać.
- Później koło południa robi się zwykle gorąco, panie generale. A kiedy jest gorąco, żołnierze nie wyglądają już tak świeżo, panie generale, jak z rana. Dlatego radziłbym jednak zrobić defiladę o dziesiątej.
- Dobrze - westchnął Ferdynand. - Niech będzie o dziesiątej.
- I jeszcze jedno, panie generale... - powiedział adiutant.
- Słucham.
- Czy pamięta pan o tym, panie generale, że dziś mamy jechać do krawca?
- Nic o tym nie wiem - odparł Ferdynand.
- Widocznie pan generał był łaskaw o tym zapomnieć.
- Możliwe - zgodził się Ferdynand. - A po co mamy jechać do tego krawca, czy może mi pan

zdradzić tę tajemnicę?

- Ma pan przymierzać nowy mundur, panie generale - powiedział adiutant stając na baczność jak struna.

- Ten, co go mam na sobie, jest całkiem ładny - powiedział Ferdynand i spojrzął z zadowoleniem w lustro. - Sam pan przyzna, że nic temu mundurowi nie brakuje.

- Przyznaję, panie generale - powiedział adiutant. - Ten mundur jest rzeczywiście ładny, ale tamten będzie jeszcze ładniejszy. Ostatecznie nie może pan przyjmować defilady w starym mundurze.

- W jakim? W starym? - wrzasnął Ferdynand.

- Najmocniej pana generała przepraszam - powiedział wystraszony adiutant. - Nie chciałem pana generała obrazić...

- Ja się wcale nie obrażem - powiedział wesoło Ferdynand. Ale po chwili, zmieniając głos na niesłychanie groźny, dodał: - Natomiast mój mundur się obraził. Masz go natychmiast przeprosić. Adiutant stał blady, nie mogąc wymówić słowa.

- Czemu nic nie mówisz? - zawołał Ferdynand.

- Bo nie wiem, od cze-cze-czego zacząć - wyjąkał adiutant.

- Nigdy jeszcze nie przeproszałeś mundur? - zapytał Ferdynand.

- Nigdy.

- W porządku. Wobec tego powtarzaj za mną: Przepraszam cię...

- Przepraszam cię... - powtórzył adiutant.

- ... przepiękny mundurze...

- ... przepiękny mundurze...

- ... za to...

- ... za to...

- ... że ośmieliłem się...

- ... że ośmieliłem się...

- ... nazwać cię starym...

- ... nazwać cię starym... - powtarzał jak echo adiutant.

- Odtąd już nigdy...

- Odtąd już nigdy...

- ... nie wyrażę się o tobie w ten sposób...

- ... nie wyrażę się o tobie w ten sposób...

- ... i proszę cię...

- ... i proszę cię...

- ... żebyś mi wybaczył...

- ... żebyś mi wybaczył...

- ... moje głupie powiedzenie.

- ... moje głupie powiedzenie.

- Wybaczam! - odezwał się głębokim basem mundur Ferdynanda.

- Widzisz, jaki on wspaniałomyślny? - powiedział Ferdynand.

- Nie do wiary! Po prostu nie do wiary! - wymamrotał adiutant. - Nigdy bym nie przypuszczał, że mundury mogą mówić.

- Nie wszystkie, mój drogi, nie wszystkie... - dodał z dumą, wypinając pierś do przodu, Ferdynand. Prawdę mówiąc, sam był zaskoczony faktem, że jego mundur nagle przemówił, ale był na tyle sprytny, że nie dał nic po sobie poznać.

``Jak tylko zostaniemy sam na sam z tym mundurem, to sobie z nim porozmawiam - pomyślał w głębi duszy. - Na pewno powie mi masę ciekawych rzeczy. Nie wiem, skąd on się na mnie wziął, ale widzę, że to nie jest jakiś pierwszy lepszy mundur. Wygląda na to, że jest bardzo mądry". - Czy pan teraz rozumie - zwrócił się do adiutanta - dlaczego nie chcę za nic w świecie rozstawać się z tym mundurem?

- Tak jest, panie generale. Rozumiem doskonale.

- Do żadnego krawca po nowy mundur nie będziemy jeździć, a defiladę będę przyjmował w tym mundurze, który w tej chwili mam na sobie.

- Tak jest, panie generale. Zupełnie się nie dziwię.
 - W niedzielę o dziesiątej rano zjawimy się na trybunie we dwójkę: ja i mój mundur! - powiedział Ferdynand.
 - Tak jest, panie generale!
 - A teraz odmaszerować!
- Trzasnąwszy obcasami adiutant wyszedł z pokoju Ferdynanda i kiedy już zamknął za sobą drzwi, zaczął na korytarzu kręcić z podziwu głową.

li

- Skąd ty się właściwie na mnie wzięłeś? - zapytał Ferdynand, kiedy zostali z mundurem sam na sam.
 - O, to dłuższa historia - odpowiedział basem mundur.
 - Opowiedz mi ją chociaż w skrócie - poprosił Ferdynand, który uwielbiał słuchać czyichś opowiadań.
 - Usiądźmy sobie gdzieś - powiedział mundur. - Bo na stojąco niewygodnie się opowiada.
 - Proszę cię bardzo, siadajmy - odparł Ferdynand, wskazując wielki, wygodny fotel. - Czy ten fotel ci odpowiada?
 - Może być - powiedział mundur. - Siadajmy więc.
- Usiedli w jednym i tym samym momencie, chociaż gdyby się tak zastanowić dokładniej, to mundur usiadł o ułamek sekundy wcześniej od Ferdynanda, po prostu dlatego, że znajdował się na zewnątrz Ferdynanda i pierwszy dotknął siedzenia fotela.
- Skąd ja się na tobie wzięłem? - zaczął mundur, kiedy już się wygodnie w fotelu usadowił. - O ile sobie przypominam, takie właśnie pytanie zadałeś mi na początku naszej rozmowy...
 - Owszem - odparł Ferdynand. - Bardzo mnie to interesuje.
 - Otóż fakt, że znajduję się w tej chwili na tobie, a nie na kim innym, jest zwykłym zbiegiem okoliczności - powiedział mundur. - Najzwyczajniej wskoczyłem na ciebie, a nie na kogo innego.
 - Jak to: wskoczyłeś? - zapytał Ferdynand.
 - Widzisz - powiedział mundur ścisząc głos. - Ja od wielu, wielu lat mieszkam w muzeum. W muzeum bywa niekiedy nudno, więc żeby się trochę rozerwać, od czasu do czasu wyskakuję sobie na miasto, ponieważ jednak jestem wiotki, nie mogę sam spacerować, tylko zawsze szukam sobie kogoś do pomocy, żeby mnie nosił, rozumiesz?
 - Powoli zaczynam rozumieć - powiedział Ferdynand.
 - Oczywiście, zawsze staram się wskoczyć na jakąś sympatyczną osobę, bo przyznasz chyba sam, że o wiele przyjemniej jest spacerować na jakiejś sympatycznej osobie niż na niesympatycznej...
 - No pewnie - przytaknął ze zrozumieniem Ferdynand.
 - I właśnie tym razem wskoczyłem na ciebie. Wydałeś mi się sympatyczny, i tyle. A poza tym idealnie mnie sobą wypełniasz, co też nie jest bez znaczenia. Dzięki temu znakomicie się na tobie prezentuję.
 - Bardzo się z tego cieszę - powiedział Ferdynand zadowolony, ponieważ, tak jak prawie zresztą każdy, lubił, kiedy mówiło mu się przyjemne rzeczy.
 - Proszę cię tylko bardzo, żebyś wyjął rękę z mojej kieszeni - powiedział mundur. - Kiedy się trzyma rękę w kieszeni, kieszeń się wypycha i potem nieładnie wygląda taka powypychana.
 - Już wyjmuję - powiedział posłusznie Ferdynand. - Interesuje mnie jeszcze jedna rzecz, kochany mundurze...
 - Co takiego?
 - Czy jesteś sam na świecie, czy też masz jakąś rodzinę?
 - Moja rodzina jest porzastawiana po różnych muzeach, drogi Ferdynandzie. Mój ojciec, który już wiele lat temu zginął na skutek akcji tych potwornych moli, również był generalskim mundurem...
 - A matka? - spytał z rosnącym zaciekawieniem Ferdynand.
 - Matka moja była suknią generalowej.
 - Czy matka twoja żyje?

- Owszem, nawet nieźle się trzyma - powiedział mundur. - W zeszłym roku przeszła operację odmładzającą i trzeba przyznać, że wygląda teraz nadzwyczajnie.
 - Widziałeś się z nią ostatnio? - spytał Ferdynand.
 - Nie - odparł mundur. - Nie widziałem jej od bardzo wielu lat. Ale widziałem jej ostatnie fotografie. Dyrektor mojego muzeum otrzymał je od dyrektora muzeum, w którym mieszka moja matka. Widziałem również fotografie jednego z moich prapraprapradziadków, który jest husarską zbroją, i jednej z moich prapraprapraciotek, która jest staroświeckim japońskim kimonem.
 - Czy była Japonką@ - zapytał zaciekawiony Ferdynand.
 - Nic podobnego. W młodości była wspaniałą suknią balową z ogromnym wielometrowym trenem, ale porwali ją japońscy piraci i przerobili na kimono.
 - To straszne! - jęknął Ferdynand.
 - Chyba nie masz racji - powiedział mundur. - Jako kimono prapraprapraciotka fantastycznie się czuje i wcale nie narzeka.
 - Ostatecznie do wszystkiego można się przyzwyczaić - zgodził się Ferdynand. - Zresztą muszę ci się przyznać, że ja osobiście to guzik wiem o japońskich piratach...
 - Guzik!!! - zawołał swoim basem mundur.
 - Guzik albo prawie guzik - przytaknął Ferdynand.
 - Dziękuję Ci, żeś mi o tym przypomniał! - powiedział mundur.
 - O czym?
 - O guziku! A właściwie o dwóch guzikach!
 - Kiedy ja mówiłem tylko o jednym - powiedział Ferdynand.
 - A mnie się przypomniało o dwóch - powiedział mundur i szeptem prawie dodał: - przegrałem, fatalnie przegrałem.
 - Co przegrałeś?
 - Dwa guziki. Popatrz tylko...
- Mówiąc to mundur wypiął dwa rzędy wspaniałych złotych, błyszczących jak małe słońca guzików. W jednym rzędzie brakowało jednego guzika u dołu, a w drugim u góry.
- Widzisz?
 - Widzę - powiedział Ferdynand.
 - Ojciec z matką zawsze mi mówili: Nie graj w guziki! Ale ja jestem niepoprawny. Jak tylko gdzieś zobaczę, że grają, za żadne skarby nie mogę się oprzeć. Dziś rano, zaraz po wyjściu z muzeum, zobaczyłem grupkę chłopców grających w guziki, przystanąłem i zacząłem się przyglądać...
 - Ja też lubię... - wtrącił Ferdynand.
 - Co lubisz?
 - Lubię sobie tak przystanąć i popatrzeć.
 - Jasne, każdy lubi. No więc przyglądałem się tak i przyglądałem, aż w końcu myślę sobie: ``Trzeba by z raz postawić. Ostatecznie jeden guzik nie majątek''. Postawiłem i przegrałem. A potem postawiłem jeszcze drugi i też przegrałem... I zobacz, jak ja teraz wyglądam!
 - Rzeczywiście - powiedział Ferdynand.
 - Przy mundurze, jeśli brakuje choćby pół guzika, natychmiast się to rzuca w oczy - powiedział mundur.
 - Masz rację - zgodził się Ferdynand. - Przy zwyczajnym ubraniu guzik nie jest tak ważną rzeczą, jak przy mundurze...
 - Otóż to! - zawołał mundur. - Przecież nie mogę w takim stanie wrócić do muzeum...
 - Nie możesz - przytaknął Ferdynand.
 - Trzeba z tym coś zrobić...
 - Trzeba - zgodził się Ferdynand.
 - Ale co?
 - Czy ja wiem? - powiedział Ferdynand i podrapał się w głowę. - Może by iść i poszukać tych chłopaków, co wygrali od ciebie te guziki?...
 - A po co? - spytał mundur.
 - Żeby im te guziki odebrać - wyjaśnił Ferdynand. - Jak nie będą chcieli oddać po dobroci, to ich

pogryziemy!

- Zapominasz o tym, że mundury nie miewają zębów.

- Ale ja mam - powiedział Ferdynand. - Wystarczy za ciebie i za mnie. Zobaczysz, że od razu nam te guziki oddadzą.

- Nie mamy prawa tak postępować - powiedział mundur. - Oni te guziki wygrali i nie ma o czym mówić. To tylko moja wina, że zachciało mi się grać!

- W takim razie nie widzę żadnego wyjścia z tej sytuacji - powiedział Ferdynand.

- Owszem, jest jedno wyjście - powiedział mundur.

- Jakie? - spytał Ferdynand.

- Wyjście na miasto.

- Po co?

- Po guziki.

- I gdzież ty chcesz ich szukać?

- Jak to gdzie? W sklepach z guzikami! - powiedział swoim głębokim basem mundur.

- Myślisz, że dobierzemy takie same? - spytał z niedowierzaniem w głosie Ferdynand.

- Trzeba próbować, mój drogi - powiedział mundur. - Trzeba próbować. Ruszmy się, nie ma co tutaj siedzieć!

Jednocześnie podnieśli się z fotela i obaj razem, Ferdynand w mundurze, a mundur na Ferdynandzie, skierowali się w stronę drzwi.

Iii

Przechodnie na ulicach miasta ze zdumieniem obserwowali dziwnego jegomościa ubranego w przepyszny mundur i w dodatku mówiącego cały czas do siebie, i to dwoma różnymi głosami. Skąd bowiem mogli wiedzieć, że jeden z tych głosów, ten niższy, jest głosem owego niecodziennego munduru. Ferdynand zaczął sobie zdawać sprawę z tego, że wszyscy mu się przyglądają.

- Co ty jesteś właściwie za mundur? - spytał półgłosem.

- Generalski - odpowiedział półgłosem mundur.

- Prawdę mówiąc - powiedział Ferdynand - to ja nie mam prawa cię na sobie nosić.

- O! - zawołał mundur. - A czemuż to?

- Bo ja nie jestem generałem - odparł Ferdynand. - Tylko generałowie mają prawo nosić generalskie mundury.

- W zasadzie tak, ale nic się nie przejmój! Idź jakby nigdy nic.

- Jeszcze mnie zaaresztują - powiedział Ferdynand.

- Za co?

- Za to, że udaję generała.

- Nie bądź głupi - powiedział mundur. - Nikt Ci nic nie może zrobić. W razie czego zgonisz wszystko na mnie.

- Strasznie nie lubię zganiać winy na innych - powiedział Ferdynand.

- Nie bądź śmieszny, Ferdynandzie - powiedział mundur. - Gdyby ktoś się przyczepił, powiesz tylko, jak było. Przecież to ja wskoczyłem na ciebie. Co innego by było, gdybyś to ty mnie sobie przywłaszczył. I paradował we mnie, udając generała. Ale tak jest wszystko w porządku, popatrz, sklep z guzikami!

- No to wejdźmy - powiedział Ferdynand.

- Ano, wejdźmy.

- Dzień dobry pani! - powiedział Ferdynand, zwracając się do stojącej za ladą sprzedawczyni.

- Dzień dobry pani - powtórzył jak echo mundur.

- Potrzebne są nam dwa złote guziki generalskie... - powiedział Ferdynand.

- O, takie jak te! - dodał mundur i wypiął do przodu dwa rzędy swych złotych, błyszczących guzików.

Sprzedawczyni przyjrzała się guzikom najpierw z daleka, a potem z bliska i aż oczy się jej zaświeciły.

- Przepiękne! - powiedziała. - Przepiękne są te guziki. Jeszcze jak żyję, nie widziałam tak wspaniałych guzików.

- Z tego wynika, że pani takich guzików nie posiada na składzie - powiedział Ferdynand.

- Pan jest chyba jasnowiedzem - powiedziała sprzedawczynie. - Rzeczywiście nie mam u siebie w sklepie takich guzików. Ale skąd pan o tym wie?

- Sama pani powiedziała - wyjaśnił Ferdynand.

- Ja nic nie mówiłam.

- O, przepraszam, powiedziała pani, że nigdy w życiu takich guzików pani nie widziała. Gdyby pani miała w sklepie takie guziki, to nie mogłaby pani tak powiedzieć.

- To prawda - przyznała sprzedawczynie.

- Wobec tego musimy iść do innego sklepu - powiedział Ferdynand.

- Musimy - przytaknął mundur.

- Niech pan jeszcze chwilę poczeka - powiedziała sprzedawczynie błagalnym tonem. - Chciałabym jeszcze trochę przyjrzeć się tym cudownym guzikom, kto wie, czy kiedykolwiek w życiu będę miała okazję ujrzeć je po raz drugi. W dodatku pan tak ślicznie mówi na dwa głosy. Ferdynand aż pokraśniał z zadowolenia. Właściwie to powinien był wytłumaczyć sprzedawczynie, jak to jest z tymi dwoma głosami, ale doszedł do wniosku, że jest to sprawa zbyt skomplikowana i sprzedawczynie prawdopodobnie i tak by nie uwierzyła.

- Proszę uprzejmie - powiedział robiąc wytworny gest - niech pani sobie ogląda te guziki, ile się pani podoba!

- ...Ile się pani podoba! - powtórzył jak echo mundur.

Sprzedawczynie przyglądała się guzikom najpierw z lewej strony, potem z prawej, aż wreszcie przyniosła powiększające szkło i przez nie zaczęła je dokładnie badać. Od czasu do czasu wydawała tylko z siebie entuzjastyczne okrzyki:

- Arcydzieła!

- Unikaty!

- Coś zupełnie wyjątkowego!

- Ideał guzika!

- Jaki wdzięk!

- A ten połysk!

- Można oszaleć!

Ferdynand patrzył na nią z podziwem. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, że można tak fantastycznie znać się na guzikach. W końcu po godzinie tego oglądania powiedział:

- Wybacz pani, że opuścimy ten uroczy sklep, ale zmusza nas do tego kroku konieczność znalezienia gdzieś dwóch guzików, które by pasowały do naszego kompletu...

- ...Do naszego kompletu... - powtórzył mundur.

- Dlaczego pan mówi w liczbie mnogiej? - spytała sprzedawczynie wysoko unosząc brwi.

- Mówię w imieniu swoim i w imieniu munduru - wyjaśnił Ferdynand.

- To znaczy w moim - dodał mundur.

- Pan jest niezrównany! - zawołała sprzedawczynie z podziwem. - Gdyby kiedykolwiek potrzebne były panu jakieś guziki, oczywiście mniej eleganckie i nie tak drogie jak te, których pan szuka, to proszę uprzejmie wpaść do mojego sklepu i uważać wszystkie moje guziki za swoje!

- Ślicznie pani dziękuję - powiedział Ferdynand. - Z prawdziwą przyjemnością postaram się to zapamiętać.

- Ja też! - zawołał mundur.

- A teraz do widzenia pani - dodał kierując się ku drzwiom.

- Do widzenia! - dołożył swoje mundur.

- Żegnam pana, zabawny dwugłosey kliencie - powiedziała sprzedawczynie i uśmiechniętym wzrokiem odprowadziła do drzwi Ferdynanda i paradowający na nim mundur.

Byli jeszcze w trzech innych sklepach z guzikami, ale nigdzie nie znaleźli takich guzików, jakie im były potrzebne.

Sprawa zaczynała wyglądać tragicznie.

- Nie będę mógł przyjmować defilady - powiedział Ferdynand. - Kto to widział, żeby generał stał na trybunie i przyjmował defiladę w mundurze, przy którym brakuje aż dwóch guzików!

- A ja nie będę mógł wrócić do muzeum! - jęczał mundur. - Dyrektor tylko rzuci na mnie okiem i od razu powie: znowu grałeś, ty niepoprawny brzyda!

- Dobrze ci tak! - powiedział Ferdynand. - Na przyszłość nie graj jak głupi w guziki! Masz nauczkę! Pograżeni w smutnych myślach, usiedli w parku na ławce.

Siedzieli tak i siedzieli, może dwie godziny, a może nawet i trzy, kiedy nagle usłyszeli zbliżające się głosy.

- Tu jest bardzo dobre miejsce - mówił jeden głos.

- Można by zagrać - powiedział wesoło drugi.

- No to już! - dodał trzeci.

I po chwili za krzakami, które oddzielały ich od tych trzech głosów, Ferdynand z mundurem usłyszeli charakterystyczny odgłos zagrywanych guzików.

- Słyszysz? - zapytał szeptem Ferdynand.

- Słyszę - odparł basowym szeptem mundur.

- Może to ci sami?

- Bardzo możliwe - powiedział mundur.

- Mam pewien plan - szepnął Ferdynand.

- Jaki? - zainteresował się mundur.

- Jeśli to ci sami - powiedział Ferdynand - to spróbuję od nich te guziki odegrać. Mógłbym je od nich po prostu odebrać, bardzo grzecznie by mi je oddali, zapewniam cię, ale wiem, że się na to nie zgodzisz, bo to niehonorowo.

- No pewnie - przytaknął mundur.

- Wobec tego odegram je od nich - powiedział stanowczym głosem Ferdynand. - Wychylmy się teraz trochę, żebyś mógł sprawdzić, czy to ci sami.

Wychylili się odrobinę, tak żeby tamci ich nie zauważyli.

- Tak, to ci sami - stwierdził mundur.

- Widocznie włączą się po całym mieście i grają w guziki, gdzie się tylko da - powiedział Ferdynand. - Zeskakuj ze mnie!

- Ani mi się śni. - Odparł mundur. - Bardzo dobrze mi jest na tobie i wcale nie mam zamiaru z ciebie zeskakiwać.

- Zeskakuj, i to szybko! - powtórzył Ferdynand. - Jeśli ciebie zobaczą, to od razu się połapią i będą ostrożni.

- Może masz i rację - mruknął mundur i z wielką niechęcią, ociągając się, zsunął się z Ferdynanda. Ferdynand został w samej bieliźnie. Wyglądał teraz trochę jak sportowiec, który przyszedł sobie do parku potrenować na własną rękę.

- Siedź tu cicho na ławce - powiedział do munduru - i ani mru, mru! Ja postaram się wrócić możliwie jak najprędzej.

Mundur został na ławce, a Ferdynand wesoło pogwizdując zniknął za krzakami.

\\

- Gramy sobie w guziczki, co? - spytał podchodząc do trzech młodych typków pograżonych w grze.

- Zgadza się - powiedział jeden z typków.

- No i jak idzie? - dopytywał się Ferdynand.

- Ano tak sobie - odparł drugi typek.

- Wspaniała gra! - oznajmił Ferdynand.

- Pan też grywa? - zainteresował się trzeci typek.

- Dawniej grywałem - powiedział skromnie Ferdynand. - Ale od dłuższego już czasu nie miałem guzików w rękę, chyba że przy zapinaniu.

- He, he, he! - zarechotały jednocześnie wszystkie trzy typki. - Dobry kawał!

- A może by pan tak z nami zagrał? - zaproponował pierwszy typek wężąc okazję łatwego wygrania guzików.

- Prosimy bardzo - dodał drugi.

- Z przyjemnością z panem zagramy, dlaczego nie? - uśmiechnął się chytrze trzeci.

- Kiedy ja za słabo gram... - zaczął się wykრęcać Ferdynand.

- My też gramy nienadzwyczajnie... - powiedział pierwszy typek.

- Tyle, że wiemy, na czym ta gra polega, i nic więcej - oświadczył drugi.

- Właściwie, to jesteśmy początkujący... - dodał trzeci.

- Nawet nie mam przy sobie żadnych porządných guzików - powiedział Ferdynand wskazując na te kilka zwyczajnych guzików, jakie miał przy bieliźnie.

- Nie szkodzi - powiedział najstarszy z typków. - Możemy zagrać z panem na kredyt...

- Na pewno ma pan w domu jakieś garniturki z guziczkami, prawda? - zapytał drugi.

- Oczywiście, że mam - odparł Ferdynand. - Poza tym mam całą masę guzików luzem, po tatusiu.

- Dużo tego będzie? - spytał z nagłym zaciekawieniem trzeci typek.

- Czy ja wiem? - zaczął się zastanawiać Ferdynand. - Może ze cztery szuflady...

- Duże? - zapytali wszyscy trzej jednocześnie.

- Spore - odrzekł Ferdynand wyjaśniająco.

Wszyscy trzej zatarli jednocześnie ręce. Nie byli w stanie powstrzymać się od tego ruchu.

- Mamy do pana zaufanie - powiedział najstarszy. - Gdyby pan przypadkiem przegrał, w co zresztą nie wierzymy, to przecież nie będzie się pan tej przegranej wypierał, prawda?

- Oczywiście, że nie - zapewnił Ferdynand.

- Wygląda pan na solidnego gościa - powiedział drugi.

``W przeciwieństwie do was" - pomyślał sobie w duchu Ferdynand.

- Poza tym tacy jak pan to nie przegrywają - zauważył trzeci i zrobił cwaniackie oko do dwóch pozostałych koleżków.

- Jak już tak bardzo chcecie, panowie, to mogę ostatecznie z wami zagrać - zgodził się Ferdynand. - Ale żeby to za długo nie trwało...

- Może pan być spokojny - powiedziały chórem typki. - Wszystko pójdzie raz dwa.

- No to zaczynamy! - zawołał Ferdynand.

Już po paru zagraniach Ferdynand miał w kieszeni przynajmniej z pół kilograma guzików, które w błyskawicznym tempie wygrał od typków. Typki zaczęły przejawiać oznaki zdenerwowania, ale nie wypadało im się wycofywać z gry.

- Gramy dalej, panowie, prawda? - wołał co chwila Ferdynand, zgarniając stos guzików.

- Rzecz jasna, że gramy - odpowiadały typki, ale nosy miały coraz bardziej spuszczone na kwintę.

Ferdynand wygrał już od nich wszystkie guziki od marynarek, a teraz właśnie był w trakcie wygrywania ostatnich guzików od spodni. Wszyscy trzej przytrzymywali już spodnie rękami, ponieważ guziki postawili na los szczęścia.

- Ja już więcej nie gram! - powiedział wreszcie pierwszy typek. - Skończyły mi się guziki.

- Mnie też - powiedział drugi.

- I mnie - dodał trzeci.

- Nie kłam! - warknął na to pierwszy i rzucił się w stronę trzeciego. - Nie kłam! - powtórzył, mierząc go groźnym wzrokiem. - Masz przecież jeszcze dwa guziki!

- Jakie? - zapytał robiąc głupkowatą minę trzeci.

- Nie udawaj głupiego - przyszedł z pomocą pierwszemu drugi, doskakując do trzeciego. - Wiesz dobrze, jakie! Te, coś je rano wygrał od tego ciężkiego frajera!

- O, to są pamiątkowe guziki - powiedział trzeci. - Schowałem je sobie na szczęście.

- Nie bądź taki mądry! - warknęli obaj jego koledzy. - Dawaj no je tu zaraz, bo musimy się odegrać. A jak nie, to marnie będziesz wyglądał!

Trzeci ociągając się, bardzo niechętnie sięgnął do kieszeni i wyjął z niej dwa wspaniałe złote guziki. Ferdynand poznał je natychmiast. Tak, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że są to brakujące dwa guziki od munduru. Od munduru, który w tym momencie siedział samotnie o parę kroków stąd na ławce za krzakami. Serce mocniej mu zabiło.

- Tylko spokojnie, Ferdynandzie, tylko spokojnie - szepnął sobie w duchu. - Musisz postępować tak, żeby się czasem nie spłoszyli.

- Gramy dalej! - powiedział zdecydowanym głosem pierwszy typek, odbierając z rąk trzeciego owe precudne guziki.

- Nie mam zamiaru grać o blaszane guziki! - powiedział lekceważącym tonem Ferdynand. - Z zasady grywam tylko o solidne guziki rogowe albo kościane. Ostatecznie mogą być z masy perłowej... Ale nie blaszane, panowie, nie blaszane!

- Kiedy te są bardzo ładne... - usiłował ratować sytuację drugi typek.

- Możliwe - powiedział Ferdynand - ale mnie się nie podobają.

- Niech pan tylko popatrzy, jak się błyszczą! - zawołał trzeci typek, w którym ponownie zagrała chęć odegrania się.

- Jeśli mam być szczery - powiedział Ferdynand - to mnie zupełnie nie interesują rzeczy, które się błyszczą.

- Panie! - zawołał ze łzami w oczach pierwszy typek. - Pan nie może z nami w ten sposób postępować!

- Musi pan nam dać szansę! - załkał drugi.

- Niech pan ma litość w sercu - jęknął trzeci.

- Dobrze - powiedział wreszcie Ferdynand. - Rzucimy jeszcze raz, ale na tym już będzie koniec. Gram o te oba blaszaki!

- Zgoda! - zawołały typki, wyznaczając jednocześnie najstarszego typka, który znał najwięcej oszukańczych sztuczek, do wykonania rzutu.

Rzucili.

I tym razem również zagranie Ferdynanda było bez porównania lepsze od zagrania przeciwnika. Było bez mała mistrzowskie. Ferdynand zagarnął do kieszeni oba złote guziki i uśmiechając się w ten swój charakterystyczny sposób ukazujący oba rzędy jego wspaniałych i budzących dreszcz zębów, powiedział:

- Bardzo mi się miło z panami grało. Może jeszcze kiedyś spotkamy się na partyjkę guzików? Jestem do panów dyspozycji.

Typki tępo patrzyły w ziemię przestępując z nogi na nogę.

- Tego... chętnie... owszem... ale nie mamy tego... w najbliższym czasie tego... czasu... - powiedział pierwszy typek.

- Właśnie... tego... nie mamy czasu... - podchwycił drugi.

- Tego tak... czasu nam tego... brak... - dodał trzeci.

Odwrócili się na pięcie i przytrzymując spodnie rękami pomaszrowali jak niepyszni przed siebie. Ferdynand wrócił do munduru, który drzemał na ławce. Zanim wyszedł zza krzaków, wsadził sobie między zęby oba złote guziki.

- Patrz - wyseplenił - w zębach ci je przynoszę!

- Nie do wiary! - zawołał mundur. - Nie do wiary! Jak ty to zrobiłeś?

- A, to moja tajemnica - odparł skromnie Ferdynand. - Gdybyś nie spał, tobyś pewnie usłyszał, jak ja to zrobiłem...

- Zdrzemnąłem się odrobinę - przyznał mundur. - Boże, moje rodzone guziki!

- Chodź, pójdziemy je zaraz przyszyć - powiedział Ferdynand i pomógł mundurowi na siebie wskoczyć.

V

Ledwo oba cudem odzyskane guziki znalazły się na swoich poprzednich miejscach, zjawił się adiutant i stając przed Ferdynandem na baczność powiedział:

- Panie generale, dzisiaj jest niedziela!

- Co, już? - zdziwił się Ferdynand. - Przecież dopiero był czwartek.

- Czas leci, panie generale - powiedział adiutant stukając obcasami. - Samochód czeka na dole, możemy jechać.

- Dokąd? - zapytał Ferdynand.
- Na defiladę, panie generale - powiedział adiutant. - Dzisiaj właśnie ma pan przyjmować defiladę...
- Coś sobie przypominam - mruknął Ferdynand. - Istotnie, była kiedyś mowa o jakiejś defiladzie. Ale czy to konieczne?
- Wszyscy czekają na pana generała.
- Mógłby mnie przecież ktoś zastąpić - powiedział Ferdynand. - Tak mi się dziś nie chce przyjmować defilady.
- To wykluczone, panie generale! - powiedział stanowczym głosem adiutant. - Nikt nie jest w stanie zastąpić pana generała.
- Czemuż to? - zainteresował się Ferdynand.
- Bo pan, panie generale, ma najpiękniejszy mundur, jaki sobie można wyobrazić. Żaden inny mundur nie będzie na trybunie wyglądał tak pięknie, jak pański, panie generale.
- Mogę go pożyczyć temu, który się zgodzi mnie zastąpić - powiedział z rozbrajającą szczerością Ferdynand.
- O, nie! Nigdy się na to nie zgodzę! - wrzasnął swoim basem mundur. - Na nikim innym nie będę się wygłupiał na trybunie!
- Znów zaczyna się mądrzyć - powiedział Ferdynand do adiutanta wskazując na swój mundur. - Co mam robić, trudno, pojedę na tę defiladę...

\\

Punktualnie o dziesiątej Ferdynand wszedł w swym paradnym mundurze na udekorowaną trybunę. Obok stanął wyprężony adiutant. Natychmiast też gdzieś daleko rozległ się huk armatnich wystrzałów i rytmiczny odgłos maszerujących oddziałów.

Dudniły wysokie, podkute buty, ale im bardziej stukot ich zbliżał się w stronę trybuny, tym bardziej wzrok Ferdynanda nabierał pewności, że oddziały te składają się wyłącznie z kotów.

- Co to za formacja? - spytał szeptem adiutanta.
- Pułk Kotów w Wysokich Butach - odparł szeptem adiutant.
- Dobrzy żołnierze?
- Znakomici - potwierdził adiutant.
- Czym się wyróżniają? - pytał dalej Ferdynand.
- Potrafią bezszelestnie zbliżyć się do wroga, panie generale - powiedział adiutant.
- Chodzą nadzwyczaj cicho.
- Ciekawe - powiedział Ferdynand. - Jak oni to robią w tych wysokich, podkutych butach?
- Do walki, panie generale, pułk Kotów w Wysokich Butach udaje się zwykle boso, buty mają tylko od parady - wyjaśnił adiutant z uśmiechem.
- Ach tak - powiedział Ferdynand. - Jakie mają uzbrojenie?
- Szalenie nowoczesne, panie generale. Zdalnie sterowane pazury.
- Jak to zdalnie sterowane?
- Sterowane z ośrodka dyspozycyjnego, znajdującego się w ich mózgach.
- Na czym to polega? - zapytał Ferdynand, który zawsze objawiał wielkie zainteresowanie dla problemów naukowych.
- Jest to urządzenie dość proste, panie generale - powiedział adiutant. - Przypomina trochę podwozie samolotowe. Kiedy samolot jest w powietrzu - podwozie schowane jest do wewnątrz, kiedy samolot ma lądować - podwozie wysuwa się na zewnątrz. Normalnie pazury schowane są wewnątrz, między palcami. Z chwilą jednak ataku wysuwają się automatycznie do przodu przed palce i stają się niesłychanie groźną bronią.
- Fantastyczne! - powiedział z podziwem Ferdynand.

Wśród ogromnych wiwatów coraz to nowe oddziały Kotów w Wysokich Butach zjawiały się przed trybuną, a po predefilowaniu ustawiały się wielkimi czworobokami na Placu Zabaw. Z kolei otoczone wielkimi kłębami dymu zjawiały się przed trybuną formacje kotów palących wielkie fajki.

- A to co za jedni? - spytał Ferdynand.
- Fajczarze - odparł adiutant. - Kiedy sytuacja na polu bitwy tego wymaga, zapalają na komendę te swoje wielkie fajki i robią zasłonę dymną, która zupełnie myli nieprzyjaciela.

- Te oddziały powstały pewnie niedawno?
 - W zeszłym miesiącu - powiedział adiutant. - Chociaż trzeba przyznać, że w poezji załóżek tego pomysłu istniał już od dawna...
 - Co pan powie! W jakimż to utworze? - zapytał Ferdynand.
 - W słynnej eposie zaczynającej się, jak sobie zapewne pan generał przypomnia od słów: ``Opowiem ci bajeczkę o kotku, co palił fajeczkę''. To właśnie był ten załóżek...
 - Bardzo ciekawa historia - przyznał Ferdynand. - A to kto znowu? - spytał dostrzegając sporą ilość kotów jadących na motocyklach.
 - To specjalne oddziały Szczurołapów. Dzięki motocyklom mogą rozwijać o wiele większą szybkość.
 - A jeśli szczur wpadnie do dziury? - spytał Ferdynand.
 - To właśnie zagadnienie, panie generale, nie jest jeszcze do końca rozwiązane. Jeśli bowiem dziura jest na tyle duża, że mieści się w niej Szczurołap na motocyklu, to wszystko jest w porządku. Jeśli natomiast dziura jest mniejsza, pościg może się zakończyć tragicznie dla Szczurołapa.
 - Widzę, że to rzeczywiście trudna i niebezpieczna służba - powiedział Ferdynand.
 - Jeszcze jak! - przyświadczył adiutant.
 - Ale za to jakże przyjemna - dodał Ferdynand.
 - Tak pan generał uważa? - spytał adiutant bacznie przyglądając się Ferdynandowi.
 - Pewnie. Można sobie jeździć na motocyklu, ile się tylko chce. Gdybym miał trochę więcej czasu - rozmarzył się Ferdynand - sam bym chętnie wstąpił do oddziału Szczurołapów.
 - Panu generałowi nie wypada - zgorszył się adiutant.
 - Nie wiesz czasem - powiedział ironicznie Ferdynand. - Jak tylko jest coś przyjemnego do zrobienia, to wszystkim wypada to robić, tylko nie mnie!
 - Panu generałowi wypada jeździć limuzyną - powiedział adiutant - ewentualnie konno, pod warunkiem, że koń nie będzie taki jakiś byle jaki, ale rasowy.
 - Na rasowym motocyklu też mi wypada jeździć! - wrzasnął Ferdynand.
 - Jak pan generał uważa - powiedział adiutant - ale wcale nie jestem tego taki pewien.
 - Przestań się mądrzyć! - zagrzmiął Ferdynand i tupnął w trybunę, że aż echo poszło. - Jak będę chciał, to będę jeździł na motocyklu dzień i noc, rozumiesz?
 - Tak jest, panie generale - powiedział potulnie adiutant.
- Tłumy zebrane wokół trybuny słysząc gniew generalski zamarły z przerażenia. W absolutnej ciszy, jaka teraz zapanowała, słycać było jedynie odgłos kroków defilujących oddziałów i warkot motocykli. Wreszcie oddziały sprawnie ustawiły się w ogromnych czworobokach. Do adiutanta podbiegł wtedy jakiś na czarno ubrany człowieczek i szepnął mu coś do ucha. Adiutant skinął głową na znak, że zrozumiał, i zbliżył się na palcach do Ferdynanda.
- Panie generale - powiedział - proszony pan jest teraz o zabranie głosu. Pańscy wierni żołnierze czekają na pańskie słowa.
 - Nie chce mi się - odpowiedział krótko Ferdynand.
 - Panie generale - szepnął adiutant - tak nie można.
 - Niech pan im coś powie ode mnie...
 - Ja nie mam prawa, panie generale.
 - Widzi pan! - zawołał uradowany Ferdynand. - Panu też się nie chce przemawiać tak samo jak mnie, tylko tłumaczy się pan, że pan nie ma prawa.
 - Bo tak jest istotnie.
 - Tereferekuku! - mruknął Ferdynand. - Znamy się na tym.
 - Zresztą nie ja jestem proszony, panie generale, o zabranie głosu, lecz pan - oświadczył zrozpaczony adiutant, ponieważ przerwa w uroczystościach zaczęła się przedłużać w nieskończoność, a to zawsze robi złe wrażenie, o czym adiutant wiedział doskonale z doświadczenia.
 - Ja nie mam absolutnie nic do powiedzenia - mruknął Ferdynand z rozbrajającą szczerością.
 - Musi pan coś powiedzieć - nalegał adiutant.
 - Ale co? - spytał Ferdynand z rozpaczą w głosie.

- Coś wojskowego w każdym razie.
- Mogę powiedzieć na przykład: armata. Czy armata to jest coś wojskowego, panie adiutancie?
- Niewątpliwie - odparł adiutant. - Armata to jest coś wojskowego. Ale sama armata to za mało.
- Mogę jeszcze coś do tej armaty dodać - powiedział Ferdynand.
- Świetnie, panie generale, świetnie! - ucieszył się adiutant.
- Żeby to lepiej brzmiało, dodam jeszcze do tej armaty przymiotnik ``duża" - powiedział Ferdynand.
- Duża armata! Jak to się panu podoba? Śliczne przemówienie, prawda?
- Bardzo ładne - przyświadczył adiutant - ma tylko jedną wadę, mianowicie jest nieco za krótkie...
- To dobrze! - zawołał Ferdynand. - To właśnie bardzo dobrze, że jest krótkie. Żołnierze spokojnie go wysłuchają i nie znudzą się, rozumie pan?
- Rozumiem - westchnął adiutant. - Ja bym je jednak trochę przedłużył...
- A ja, gdyby się tylko dało je skrócić, tobym skrócił - powiedział z powagą Ferdynand.
- Może pan to z łatwością zrobić, panie generale - zażartował adiutant i natychmiast przeraził się tego powiedzenia.
- W jaki sposób? - zapytał z zainteresowaniem Ferdynand.
- Po prostu zamiast: ``Duża armata" może pan powiedzieć: ``Haubica".
- A co to jest haubica? - wyszeptał do ucha adiutanta Ferdynand, bo wstyd mu było, że jako generał nie wie takich prostych rzeczy.
- Haubica to jest duża armata - odpowiedział mu takim samym szeptem do ucha adiutant.
- Pan jest genialny, panie adiutancie! - zawołał Ferdynand. - W ten sposób oszczędzamy na przemówieniu aż dwie sylaby!
- Nie rozumiem - powiedział adiutant.
- ``Duża armata" ma pięć sylab, a ``Haubica" tylko trzy. Jak odejmiemy trzy od pięciu, to ile nam zostaje?
- Dwa - powiedział adiutant.
- No widzi pani - zawołał rozpromieniony Ferdynand. - Te dwie sylaby to czysty zysk. Gdyby wszyscy w ten sposób postępowali, to wie pan, ile mielibyśmy zaoszczędzonych sylab?
- Bardzo dużo.
- O, właśnie! Bardzo trafnie pan to ujął, panie adiutancie kochany. Mielibyśmy bardzo dużo sylab. Z tych zaoszczędzonych sylab można by wygłosić całą masę nowych przemówień bez najmniejszych dodatkowych wydatków.
- To prawda - przyznał adiutant.
- A to wszystko dzięki panu - wrzasnął Ferdynand. - To pan podsunął mi ten pomysł ze skróceniem przemówienia. Moje przemówienie będzie teraz krótkie, dosadne i przede wszystkim wojskowe. Powiem im to tak prosto z serca! A panu najgoręcej dziękuję!
- Powiedziawszy to Ferdynand rzucił się na adiutanta i zaczął go z wdzięczności całować. Kiedy ujrzwały to zebrane oddziały i tłumy, zaczęto wznosić okrzyki na cześć generała:
- Hip, hip, hura!
- Siup, siup!
- Hop, hop!
- Hejże ha!
- Jeszcze raz!
- Sto lat!
- Kukuryku!

I masę innych, z których większość Ferdynand słyszał po raz pierwszy w swym życiu. Następnie ów mały, na czarno ubrany jegomość podbiegł do mikrofonów. Żeby sprawdzić, czy dobrze działają, szybko wytrąkotał:

-
Razdwatrzycztery pięć sześć siedem osiem dziewięć dziesięć próba mikrofonów dziesięć dziewięć osiem siemna sześć pięć cztery trzy dwa jeden! - zatarł ręczki z zadowolenia, że wszystko działa, bo rzeczywiście mikrofony natychmiast przekazały to trajkotanie megafonom, które na całe miasto wyrecytowały grubym rechotem:

razdwatrzycztery pięć sześć siedem osiem dziewięć dziesięć próba mikrofonów dziesięć dziesięć osiem
dziesięć pięć cztery trzy dwa jeden!

Potem echo w różnych częściach miasta powtórzyło to trajkotanie kilka razy. Mały człowieczek odczekał, aż ostatnie echo skończy powtarzanie, i wtedy dopiero skinął nieznacznie głową w stronę adiutanta na znak, że wszystko jest w porządku i że generał może zacząć przemówienie.

- Pan generał będzie łaskaw - powiedział adiutant, wskazując Ferdynandowi gestem dłoni mikrofon. Ferdynand podszedł do mikrofonu, stanął i spojrzał na ogromne tłumy zalegające plac. Na wprost przed nim stały wspaniale się prezentujące formacje. Wszyscy żołnierze mieli długie, sterczące na boki wasy, które wyglądały niesłychanie groźnie. Niektórzy nawet bez przerwy nimi ruszali.

- Hau... - zaczął Ferdynand swoje przemówienie i nagle poczuł, że się krztusi. ``Ładny gips! - pomyślał sobie w duchu. - Tego tylko brakowało. Jeśli się tylko zakrztusiłem, to wszystko w porządku, gorzej jeśli to jest angina. W takim wypadku za nic w świecie nie uda mi się dokończyć przemówienia. Trzeba spróbować porządnie odchrząknąć..."

Nabrał do płuc dużo powietrza i z całej siły zaczął jeszcze raz:

- Hau! Hau!

Nie puściło. Więc nateżył się jeszcze raz i ryknął, ile miał tylko sił:

- Hau! Hau! Hau!

Mikrofony bez chwili namysłu odesłały te ferdynandowe chrząknięcia do megafonów, a te powiększyły je od razu do niesamowitych rozmiarów. Chrząknięcia zabrzmiały dzięki megafonom jak szczekanie całego stada psów olbrzymów.

Na ten odgłos coś dziwnego zaczęło się dziać z równo dotychczas ustawionymi czworobokami wyborowych oddziałów. Szeregi zaczęły się nagle łamać, mieszać, rozpadać na wszystkie strony, w ogóle, powiadam Wam, było to coś niesamowitego. Pierwsze rozpierzchły się, i to od razu we wszystkich kierunkach, oddziały Szczurołapów. Mieli motocykle, więc najłatwiej im było uciekać. Ale uciekając co chwila wpadali na siebie tymi motocyklami, z czego powstawał chrzęst trudny do opisania. Za nimi rzucił się do ucieczki pułk Kotów w Wysokich Butach. Uciekając gubili buty, które spadały im z nóg, a o te buty z kolei przewracali się następni i znów gubili buty, o które przewracali się następni ci, którzy uciekali za nimi. Na samym końcu biegli Fajczarze.

Początkowo usiłowali zrobić jaką taką zasłonę dymną wypuszczając ze swych fajek obłoki dymu, ale ze strachu nie mieli siły dobrze tych fajek ciągnąć i w rezultacie dymu było bardzo mało, i w dodatku był w kiepskim gatunku, tak że nikt właściwie nie był w stanie się w nim ukryć.

Najgorsze było to, że Ferdynand, usiłując dokończyć przemówienie, bez przerwy próbował odchrząknąć, aby czystym głosem powiedzieć całe słowo ``Haubica". Ale do tej ``bicy" za nic nie mógł dobrnąć, bo ciągle urywał na ``Hau".

- Hau! Hau! Hau! - chrząkał, a koty wiały ile sił w nogach. - O Boże, co ja narobiłem! - myślał zrozpaczony widząc ten przerażający popłoch, który po każdym ``Hau" jeszcze się potęgował.

- Kochany mundurze, może ty mi poradzisz, co ja mam teraz zrobić? - zwrócił się Ferdynand do swego przyjaciela, który był przecież mądrą i doświadczoną osobistością.

- Zbudź się, Ferdynandzie! - huknął mu mundur na cały głos prosto w ucho.

I Ferdynand natychmiast się przebudził.

Zeskoczył wcale nie z trybuny, ale z kanapy, przeciągnął się i leniwym krokiem podszedł do okna. Wspiął się na tylne łapy - jak to miał zwyczaj codziennie robić, a przednimi oparł się o parapet i wyjrzał.

Dwóch podejrzanych typów uciekało, aż się kurzyło, oglądając się co chwila za siebie.

- Wszystko rozumiem - mruknął Ferdynand pod nosem. - To są złodzieje. Oni chcieli okraść nasz dom, ale moje przemówienie ich wystraszyło.

I już dla własnej satysfakcji postanowił jeszcze raz wygłosić to całe przemówienie od początku do końca.

- Hau, hau, hau, bi, ca! - zawył i machnął ogonem.

Myśliwy

I

Siedział Ferdynand w parku na ławce i odpoczywał. Każdy lubi sobie od czasu do czasu usiąść na ławce w parku i nic nie robić, tylko patrzeć na przechadzających się ludzi, na bawiące się dzieci, na kwiatki kwitnące na klombach albo na przesuwane się po niebie chmury.

Ferdynand też bardzo to lubił. Mógł się wtedy oddawać marzeniom, a oddawanie się marzeniom było ulubionym zajęciem Ferdynanda.

Marzył więc sobie Ferdynand i marzył siedząc na tej ławce w parku, kiedy nagle poczuł, że ktoś obok niego przystanął.

- Dzień dobry, panie Ferdynandzie! - usłyszał znajomy głos.

- A dzień dobry, dzień dobry - odpowiedział nie otwierając nawet oczu. Nie chciało mu się otwierać oczu i tyle. ``Nie będę otwierał oczu - pomyślał sobie. - Postaram się odgadnąć, kto to jest, bez otwierania oczu."

- Dawnośmy się nie widzieli... - powiedział głos.

- A rzeczywiście, dosyć dawno - odparł Ferdynand, a w duchu pomyślał sobie: ``I w dalszym ciągu się nie widzimy, ponieważ ja nie otwieram oczu."

- Co u pana słyhać, kochany panie Ferdynandzie? - dopytywał się głos.

- Nic specjalnie ciekawego - odparł Ferdynand.

- Świetnie pan wygląda - powiedział głos.

- Hm, tak sobie - mruknął Ferdynand i zaczął się zastanawiać, do kogo też ten głos może należeć.

- Nie ma pan pojęcia, jak się cieszę, że pana spotkałem. Czy można obok pana usiąść?

- Proszę bardzo, niech pan siada - powiedział Ferdynand i dalej nie był w stanie stwierdzić z całą pewnością, do kogo z jego znajomych należeć może ten głos.

- Czy pan już usiadł? - spytał, mając przez cały czas szczerze zamknięte oczy, chociaż ogromnie go korciło, żeby przez wąską szparkę, choćby w jednym oku, popatrzeć, kto to taki.

- Usiadłem - odparł nieco zdziwiony głos. - Czy pan tego nie zauważył, panie Ferdynandzie?

- Szczerze panu powiem, że nie zauważyłem - powiedział Ferdynand.

- Ciekawe... - mruknął głos. - Przecież pan mnie widzi...

- A właśnie że nie widzę! - odparł Ferdynand.

- Nie widzi pan mnie? - zawołał głos do głębi wstrząśnięty. - Czemuż to, kochany panie Ferdynandzie, pan mnie nie widzi?

- Temuż, proszę szanownego pana, że mam oczy zamknięte - powiedział Ferdynand.

- A czemuż to ma pan zamknięte oczy, panie Ferdynandzie? - spytał głos głosem pełnym ciekawości.

- A temuż - odparł Ferdynand - że jak mam zamknięte oczy, to lepiej odpoczywam. Jest to najnowsze odkrycie w dziedzinie odpoczywania - stwierdził Ferdynand niesłychanie poważnym tonem.

- Co pan powie? - zdumiał się głos. - Pierwszy raz o czymś takim słyszę. To pewnie zostało ogłoszone stosunkowo niedawno...

- W zeszłym tygodniu - powiedział Ferdynand. - Jak tylko o tym przeczytałem, natychmiast się tym odkryciem zainteresowałem.

- I co? Zamyka pan oczy? - spytał głos.

- W każdej wolnej chwili - odparł Ferdynand z przekonaniem.

- I istotnie lepiej się wtedy wypoczywa? - dopytywał się głos.

- O wiele lepiej! Tego się nawet nie da wyrazić słowami!

- To ja wobec tego też zamknę oczy - powiedział głos. - Czy pan pozwoli, panie Ferdynandzie?

- Proszę uprzejmie, niech pan zamyka - odrzekł Ferdynand. - Każdemu wolno zamykać oczy, kiedy mu się tylko podoba.

- Już zamknąłem - powiedział głos.

- No i jak pan się czuje? - spytał Ferdynand.

- Cudownie! - zawołał głos. - Nigdy bym nie przypuszczał, że tak wspaniale odpoczywa się z zamkniętymi oczami.

- Prawda? - powiedział zadowolony Ferdynand. - Ten system ma tylko jedną wadę.
- Jaka? - zainteresował się głos.
- Mianowicie, że nic się nie widzi - powiedział Ferdynand. - Kiedy ma się zamknięte oczy, to nic się nie widzi.
- Ma pan rację - przyświadczył głos. - Kiedy ma się zamknięte oczy, to nic się nie widzi. Ale przecież można je otworzyć.
- Tak - powiedział Ferdynand - można. Kiedy się jednak otworzy oczy, natychmiast przestaje się odpoczywać według najnowszych odkryć.
- Słuszne spostrzeżenie - przyznał głos. - Ale na co właściwie panu otwieranie oczu?
- Czasami otwieranie oczu jest potrzebne - powiedział Ferdynand. - Żeby na przykład stwierdzić, kto siedzi obok nas na ławce.
- Ja - odparł głos.
- Ja wiem, że pan - Odpowiedział Ferdynand. - Ale kto pan jest?
- Pan mnie nie poznał po głosie? - spytał zdumiony głos. - Przecież mam bardzo charakterystyczny głos, tak mi przynajmniej wszyscy mówią.
- Owszem - przyznał Ferdynand - głos ma pan bardzo charakterystyczny, ale prócz pana znam jeszcze całą masę ludzi, którzy mają również bardzo charakterystyczny głos. I teraz bez otwierania oczu nie potrafię tego pańskiego bardzo charakterystycznego głosu skojarzyć z żadną postacią. Niech pan się o to na mnie nie gniewa...
- Ależ skąd! - odparł głos. - Ja, proszę pana, jestem...
- Niech pan mi nie mówi! - wrzasnął Ferdynand. - Niech pan mi nie mówi, kto pan jest. Ja sam muszę zgadnąć! Pan jest... pan jest... pan jest pan Sreberko, który ma sklep z mięsem na Klonowej...
- Nie, panie Ferdynandzie, ja nie jestem pan Sreberko, który ma sklep z mięsem na Klonowej - powiedział głos nieco urażonym tonem.
- Wobec tego jest pan dyrektorem Rączką...
- Dyrektorem Rączką też nie jestem.
- Już wiem! Pan jest Kajetan Bąbelek - zawołał Ferdynand.
- Nie jestem żaden Kajetan Bąbelek - oświadczył chłodno głos.
- Chwileczkę, chwileczkę - powiedział Ferdynand. - Kto jeszcze ma taki bardzo charakterystyczny głos? Chyba tylko doktor Karpiówka. Czy zgadłem?
- Nie, panie Ferdynandzie, nie zgadł pan. W dodatku z doktorem Karpiówką od przedwczoraj nie rozmawiam.
- O, najmocniej pana przepraszam, że wziąłem pana za doktora Karpiówkę, ale naprawdę nie miałem pojęcia o tym wszystkim - powiedział Ferdynand, mając coraz większą ochotę na otworzenie oczu, bo zaczynał go już samego denerwować fakt, że nie może odgadnąć, kto to taki siedzi obok niego na ławce.
- Proszę zgadywać dalej - powiedział głos.
- Czy pan jest może kierownikiem kina "As"?
- Nie.
- Listonoszem z naszej dzielnicy?
- Także nie.
- Łodziarzem?
- Nienawidzę łodów.
- Profesorem łaciny?
- Zawsze miałem z łaciny dwóję.
- Wiem!!! - zawołał na cały park Ferdynand. - Jest pan kierownikiem apteki "Pod Krokodylem"!!!
- Nareszcie pan zgadł, kochany panie Ferdynandzie! - ucieszył się głos. - Rzeczywiście jestem kierownikiem apteki "Pod Krokodylem". Jak pan na to wpadł? Czy czasem nie otworzył pan oczu? No, niech pan się przyzna...
- Za kogo mnie pan bierze, panie magistrze? - powiedział oburzony Ferdynand.
- Oczy miałem szczelnie zamknięte i jeszcze specjalnie zaciskałem powieki, żeby mnie czasem nie skusiło. Wie pan, co mi pomogło?

- Ciekaw jestem?
- Trochę ta łacina - powiedział Ferdynand. - Profesor łaciny też ma podobny głos do pana...
- A ma - przyznał kierownik apteki.
- A recepty pisze się przecież po łacinie, prawda?
- Oczywiście.
- No więc to mnie trochę naprowadziło na ślad, ale naprawdę, to dopiero pomógł mi mój nos...
- Nos? Nie rozumiem...
- Pociągnąłem mocniej nosem - powiedział Ferdynand - i poczułem zapach lekarstw. Teraz już pan rozumie?
- Taak. Teraz już wszystko jest jasne. Nadzwyczajnie pan to wykombinował, panie Ferdynandzie. W ogóle jestem niesłychanie zadowolony, żeśmy się spotkali. Nie ma pan pojęcia, jak przyjemnie jest tak siedzieć sobie z zamkniętymi oczami. Czy nie uważa pan, że takie zamykanie oczu może być szczególnie korzystne dla myśliwego?
- W jakim sensie? - spytał Ferdynand, nie mając pojęcia, do czego aptekarz zmierza.
- Ano w takim, że myśliwy powinien mieć dobre oczy. A dobre oczy to są wypoczęte oczy, zgodzi się pan chyba ze mną, panie Ferdynandzie?
- Niewątpliwie.
- Otóż wydaje mi się - ciągnął dalej aptekarz - że takie częste zamykanie oczu w ciągu dnia powinno mieć zbawienny wpływ na oczy myśliwego...
- Zupełnie zapomniałem, że pan jest przecież najznakomitszym myśliwym w całym naszym mieście! - zawołał Ferdynand.
- To prawda — przyznał aptekarz. - Bardzo lubię polować. Może by się pan kiedy wybrał ze mną na polowanie, panie Ferdynandzie, co?
- We dwójkę?
- Mogę zaprosić więcej osób, jeśli pan sobie życzy - powiedział aptekarz. - Możemy urządzić wielkie polowanie. Z trąbkami i z bigosem.
- Kiedy ja jeszcze nigdy... - zaczął Ferdynand.
- Niech pan się nic nie martwi - przerwał mu aptekarz. - Każdy myśliwy był w takiej samej sytuacji jak pan. Zawsze zaczyna się od pierwszego polowania.
- Kiedy ja nawet nie mam strzelby - powiedział Ferdynand.
- To głupstwo - odparł aptekarz. - Mam tyle strzelb, że mogę panu pożyczyć dwie albo trzy.
- Ani myśliwskiego stroju...
- Przyślę panu. Z młodych lat został mi świetny strój myśliwski - powiedział aptekarz. - Jest w doskonałym stanie. Powinien pasować na pana jak ulał.
- A te trąbki, to po co? - zapytał Ferdynand z ciekawością.
- Trąbki obwieszczają początek i koniec polowania.
- A kto będzie na nich grał?
- Specjalni trębacze.
- Panie aptekarzu - zapytał błagalnie Ferdynand - czy ja bym nie mógł dostać jednej takiej trąbki?
- Jeśli panu na tym zależy, to jedna z naszych trąbek jest do pańskiej dyspozycji.
- Bardzo bym chciał, żeby była złota - powiedział Ferdynand. - I żeby miała srebrny sznur, na którym by można było ją sobie przewiesić przez ramię.
- Z całą pewnością trąbka, którą panu powierzamy, będzie taki sznur miała - powiedział aptekarz.
- I jeśli to nie sprawi panu większych kłopotów, bardzo bym prosił o przysłanie mi tej trąbki przynajmniej na tydzień przed polowaniem - powiedział Ferdynand.
- Jak pan sobie życzy - odparł aptekarz. - Ale niech mi pan prywatnie powie, po co panu ta trąbka na tydzień przed polowaniem?
- Chcę sobie na niej trochę poćwiczyć, żeby nabrać wprawy - powiedział Ferdynand. - A poza tym chcę ją wyczyścić, żeby się błyszczała jak...
- Jak co?
- Żeby się błyszczała, jak nie wiem co! - dokończył Ferdynand.
- Zaraz jutro przyślę panu trąbkę, strój myśliwski i strzelbę - powiedział aptekarz - a za tydzień

urządzymy polowanie.

- Strzelby może mi pan nie przysyłać - powiedział Ferdynand. - Najważniejsze, żebym miał trąbkę. A co do bigosu...

- Ma pan jakieś specjalne życzenia odnośnie bigosu? - Spytał aptekarz.

- Co do bigosu, panie magistrze - powiedział uroczystym tonem Ferdynand - to lubię, jak w bigosie jest dużo kielbasy.

- Mogę pana zapewnić, panie Ferdynandzie, że będzie.

- Widzi pan - powiedział Ferdynand - przeważnie bigos składa się z kapusty, do której wrzuca się trochę kielbasy. A ja marzę o bigosie, który by się składał z kielbasy, do której wrzucono trochę kapusty.

- Taki właśnie bigos przygotowujemy na pańską cześć, panie Ferdynandzie - powiedział aptekarz. - A więc za tydzień?

- Za tydzień! - przytaknął Ferdynand.

- A teraz pozwoli pan, że pana pożegnam - powiedział aptekarz podnosząc się z ławki.

- Pożegnajmy się bez otwierania oczu - zaproponował Ferdynand.

- Doskonale. Pożegnajmy się bez otwierania oczu. Szalenie jestem panu wdzięczny za to, że nauczył mnie pan tego odpoczywania z zamkniętymi oczami.

- Prawda, że się w ten sposób nadzwyczajnie odpoczywa? - powiedział Ferdynand.

- Fantastycznie, panie Ferdynandzie! Fantastycznie!

I nie otwierając oczu obaj rozmówcy pożegnali się skinieniem głów.

II

W myśliwskim stroju, ze strzelbą na ramieniu i z przepięknie wyczyszczonej trąbką, która błyszczała tak, że trzeba było odwracać wzrok, Ferdynand zjawił się umówionego dnia na punkcie zbornym.

Na miejscu był już kierownik apteki "Pod Krokodylem" i kilku innych myśliwych, uzbrojonych w najrozmaitsze fuzje, strzelby, dubeltówki i kordelasy. Wszyscy oni wyglądali niesłychanie groźnie, do tego stopnia, że ujrawszy ich Ferdynand miał w pierwszym momencie wielką ochotę zrobić w tył zwrot i najzwyczajniej w świecie zwać.

Na widok Ferdynanda wszyscy ogromnie się ucieszyli. Pierwszy podbiegł do niego kierownik apteki i zawołał, wyciągając ręce:

- Witamy pana, panie Ferdynandzie, w naszym gronie!

- Wi-ta-my!!! - powtórzyli jak echo pozostali.

- Bardzo nam miło, że zaszczycił nas pan swoją obecnością! - ciągnął dalej kierownik apteki.

- Bar-dzo!!! - przytaknęła reszta myśliwych.

- Dzień dzisiejszy zapiszemy w kronice naszego kółka myśliwskiego złotymi zgłoskami! - oświadczył schylając głowę aptekarz.

- Za-pi-sze-my!!! - ryknęli myśliwi.

- Będziemy o nim opowiadać naszym dzieciom i naszym wnukom!

- Bę-dzie-my!!!

- To dla nas prawdziwa przyjemność przebywać w pańskim towarzystwie!

- Praw-dzi-wa!!! - zgodzili się pozostali.

- Miejmy nadzieję, że polowanie dzisiejsze przyniesie znakomite rezultaty!

- Miej-my!!!

- I że nasz gość zdobędzie najwspanialsze trofea! - zakończył swoje powitanie kierownik apteki.

- Zdo-bę-dzie!!! - stwierdzili stanowczo wszyscy obecni.

Po tym przemówieniu aptekarz przedstawił kolejno Ferdynandowi wszystkich uczestników polowania, po czym zajęto miejsca w kilku samochodach, które już obok czekały, i ruszono za miasto w stronę wielkich lasów.

Ferdynand jechał w samochodzie razem z aptekarzem i dwoma innymi myśliwymi. Siedział sobie z tyłu, nie odzywał się ani słowem, tylko od czasu do czasu pociągał nosem.

- Czy pan się może źle czuje? - spytał go w końcu kierownik apteki.
 - Nic podanego! - odparł Ferdynand.
 - Wydawało mi się, że męczy pana coś w rodzaju kataru...
 - Skądże, panie magistrze.
 - Odniosłem jednakże wrażenie - nalegał aptekarz - jakby pociągał pan nosem, panie Ferdynandzie...
 - A bo istotnie pociągałem, proszę pana, i w dalszym ciągu będę chyba pociągał - powiedział Ferdynand.
 - Z jakiejż to przyczyny? - zainteresował się aptekarz.
 - A z takiejż, proszę pana - odparł Ferdynand rzeczowo - że za żadne skarby nie mogę poczuć zapachu bigosu. Czyżby go w ogóle nie było?
 - Jest, z całą pewnością jest, panie Ferdynandzie! - oświadczył kierownik apteki, przykładając rękę do serca.
 - Czemuż go wobec tego nos mój nie czuje? - spytał otwarcie Ferdynand.
 - Ponieważ bigos umieszczony jest w hermetycznym naczyniu, panie Ferdynandzie.
 - A gdzie umieszczone jest to naczynie? - zapytał poważnie Ferdynand.
 - W ostatnim samochodzie, proszę pana.
- Ferdynand wychylił się przez okno z pędzącego samochodu i spojrzął do tyłu.
- Tam jedzie pusty samochód - powiedział po dłuższej obserwacji.
 - To się tylko tak wydaje na pierwszy rzut oka, panie Ferdynandzie - powiedział aptekarz. - Ten samochód nie jest pusty. W tym samochodzie właśnie jedzie on.
 - Kto?
 - Bigos.
 - I sam tak jedzie?
 - Sam.
 - To straszne! - zawołał Ferdynand.
 - Dlaczego? - spytał kierownik apteki.
 - Bo jemu się musi strasznie nudzić.
 - Na to już nie ma rady - powiedział aptekarz, rozkładając ręce.
 - Na wszystko jest rada, proszę pana - powiedział Ferdynand.
 - Ja muszę panu powiedzieć - oświadczył aptekarz - że osobiście nie widzę żadnego sposobu na zlikwidowanie samotności bigosu.
 - A ja widzę! - zawołał Ferdynand tak głośno, że pozostali dwaj myśliwi jadący w tym samochodzie zerwali się na równe nogi z drzemki, w którą zapadli ukołysani monotonnym szumem motoru, dzięki któremu po zerwaniu się na równe nogi wyrznęli głowami w dach samochodu i nieprzytomni runęli z powrotem na swoje miejsca, zezując w przeraźliwy sposób oczami.
 - Co pan widzi? - spytał obojętnym głosem aptekarz.
 - Widzę możliwość zlikwidowania samotności bigosu! - powiedział z przekonaniem Ferdynand.
 - Nie może być...! - uśmiechnął się ironicznie aptekarz.
 - Może! - upierał się przy swoim Ferdynand.
 - Jak pan sobie to wyobraża?
 - Zwyczajnie - powiedział Ferdynand. - Przesiądę się z tego samochodu, w którym teraz jadę, do samochodu, w którym jedzie bigos.
 - No i co?
 - Będę mu opowiadał przez całą drogę różne ciekawe rzeczy - powiedział Ferdynand.
 - Pański głos może do niego nie dotrzeć - powiedział aptekarz.
 - Jakim cudem?
 - Mówiłem panu, że bigos jedzie w hermetycznym naczyniu. Jest rzeczą mało prawdopodobną, żeby pański głos dotarł do niego przez to hermetyczne naczynie.
 - Ale trąbka dotrze, prawda? - spytał Ferdynand.
 - Jak to, trąbka? - zdziwił się aptekarz, nie rozumiejąc, o co chodzi.
 - Będę mu grał na trąbce różne melodie przez cały czas podróży. Na pewno do niego dotrze

przynajmniej część tych melodii. Jak pan myśli, proszę pana?

- Jeśli pan będzie grał wyjątkowo głośno, panie Ferdynandzie, to rzeczywiście coś niecoś z tych melodii może do bigosu przez hermetyczne naczynie dotrzeć.

- Będę grał najgłośniej, jak tylko potrafię! - powiedział Ferdynand. - Niech pan zatrzyma samochód. Przesiadam się do bigosu!

Zatrzymano samochody i Ferdynand przesiadł się do samochodu, który jechał na samym końcu. Na tylnym siedzeniu siedziało w nim ogromne, szklane hermetyczne naczynie, zawierające cudowny bigos składający się z samej kiełbasy, do której wrzucono tylko odrobinę kapusty. W samochodzie czuć było nawet delikatny, oszałamiający zapach. Widocznie hermetyczne naczynie nie było zbyt szczelne.

``Tym lepiej - pomyślał sobie Ferdynand. - Jeśli nie jest zbyt szczelne, to znaczy, że zapach będzie się ulatniał, i ja będę miał przyjemność, a jednocześnie dźwięki trąbki łatwiej dotrą do wnętrza i bigos będzie miał przyjemność." - Jak pan myśli - powiedział głośno, zatrzasnąwszy drzwi bigosowego samochodu - czy taki bigos lubi, jak mu się gra na trąbce?

- Z całą pewnością lubi, panie Ferdynandzie - odparł kierownik apteki. - To jest przecież myśliwski bigos! Niech pan o tym nie zapomina.

Samochody znów ruszyły przed siebie w stronę czerniejących na horyzoncie wielkich lasów. W ostatnim samochodzie obok ogromnego naczynia z bigosem siedział Ferdynand i na złotej, błyszczącej jak samo słońce trąbce wygrywał bigosowi najprzeróżniejsze melodie.

- Tra-ta-ta-ta, tra-ta-ta-ta, tra-ta-ta-ta-ta-ta-tam!

Iii

Kiedy znaleźli się wreszcie w lesie i wysiedli z samochodów, pierwszym uczuciem, które Ferdynanda ogarnęło, była chęć pobiegania sobie na cały gaz pomiędzy drzewami i krzakami jałowca. Najwyższym wysiłkiem woli opanował się i razem z pozostałymi myśliwymi udał się na małą polankę. Tutaj wybrano kierownika polowania, którym został, z racji swego wieloletniego doświadczenia i myśliwskich sukcesów, aptekarz. Początkowo proponowano tę godność Ferdynandowi, żeby specjalnie uczcić jego udział w polowaniu, Ferdynand jednak w bardzo elegancki sposób podziękował za zaszczyt, skromnie zaznaczając, że jest to dopiero pierwsze polowanie w jego życiu i że być może na następnym przyjmie już tę godność bez żadnych zastrzeżeń.

- Będziemy polowali na zające - oświadczył aptekarz. - Każdy z panów ma prawo odstrzelić trzy sztuki. Ponieważ jest jedenastu myśliwych, powinniśmy w sumie odstrzelić zające trzy razy jedenaście, chwileczkę... Panowie, ile to będzie trzy razy jedenaście?

- Trzydzieści trzy - szepnął Ferdynand.

- Właśnie, trzydzieści trzy! - potwierdził aptekarz. - Biorąc pod uwagę, że wszyscy panowie jesteście znakomitymi strzelcami, jestem pewien, że wieczorem, kiedy zbierzemy się wokół tradycyjnego ogniska, żeby posilić się tradycyjnym bigosem, trzydzieści trzy zające będą nie tyle żywym, ile raczej martwym dowodem naszych strzeleckich umiejętności.

- Niech pan liczy tylko trzydzieści - mruknął półgłosem Ferdynand.

- Czemu, panie Ferdynandzie?

- Bo ja na pewno nie trafię ani razu.

- Co też pan mówi! - zaprotestował kierownik apteki ``Pod Krokodylem".

- Nie będzie tak źle! - huknęli gromko pozostali myśliwi.

- Daję słowo, że nie trafię - powiedział Ferdynand.

- Każdemu tak się początkowo zdaje, proszę pana, a potem okazuje się, że trafia raz za razem - powiedział aptekarz i poklepał Ferdynanda po ramieniu. - Niech się pan nic nie przejmuj, panie Ferdynandzie.

- Nic a nic! - ryknęła reszta uczestników polowania.

- Kiedy coś mi mówi, że nie trafię ani razu, i tyle - upierał się Ferdynand.

- Głowa do góry, panie Ferdynandzie, wszystko będzie w porządku - pocieszał go aptekarz, a

wszyscy mu przywitali:

- W porządku!!!

- A teraz, panowie, ruszamy na stanowiska! - powiedział kierownik polowania i zarzuciwszy strzelbę na ramię ruszył przed siebie. Za nim, zarzuciwszy również strzelby na ramiona, podążyli gęsiego myśliwi, a na końcu Ferdynand, który przyłożył swoją trąbkę do ust i idąc zaczął trąbić do taktu.

Szli tak chyba z godzinę, a może nawet i dwie, aż wreszcie doszli na skraj bardzo gęsto zarośniętego krzakami lasu. Za lasem zaraz rozciągało się pole, na którym rosły okazałe główki kapusty. Tych główek kapusty było bardzo dużo, tak dużo, że Ferdynand jeszcze nigdy w życiu nie widział naraz takiej ilości.

- Oto najlepsze miejsce, jakie znam - powiedział szeptem aptekarz. - Ukryjemy się w tych krzakach na skraju lasu, w bardzo dalekich odstępach jeden od drugiego, i w absolutnej ciszy będziemy czekali, aż zapadnie wieczór. Wieczorem wszystkie zające, jakie tu są w okolicy, schodzą się do tej kapusty na kapuścianą ucztę. Jak się panom to miejsce podoba?

- Przepiękne! - szepnął któryś z myśliwych.

- Wymarzone! - dodał drugi.

- Poemat! - delektował się trzeci.

- Arcydzieło! - oświadczył czwarty.

- Raj dla myśliwych! - przyznał piąty.

- Fiuuu! - gwizdnął z podziwem szósty.

- Pierwsza klasa! - oznajmił siódmy.

- Prawdziwa niespodzianka! - odparł ósmy.

- Cudo! - przytaknął dziewiąty.

- A pan co myśli o tym miejscu, panie Ferdynandzie? - zapytał kierownik stojącego nieco z boku Ferdynanda.

- Ja myślę, ja myślę, że to jest samo kapuściane niebo - powiedział Ferdynand po chwili namysłu.

- Brawo!!! - wrzasnęli wszyscy myśliwi z aptekarzem na czele. - To jest dopiero dobrze powiedziane! Kapuściane niebo!! Ślicznie pan to określił, panie Ferdynandzie! Odtąd będziemy to miejsce nazywać Kapuścianym Niebem! - wykrzykiwali jeden przez drugiego.

Ferdynand stał skromnie z boku i tylko uśmiechami dziękował za spontaniczną owację.

- A teraz, panowie, ciiiisza! - zawołał aptekarz. - Zajmujemy stanowiska. Pan, panie Ferdynandzie, ma prawo wybrać sobie najlepsze stanowisko.

- Mnie jest wszystko jedno - powiedział Ferdynand.

- Nie, nie, proszę pana, pan musi zająć najlepsze. Jakie panu najbardziej odpowiada? - spytał aptekarz.

- Ja bym chciał, żeby krzaki były bardzo gęste - powiedział w końcu Ferdynand - i żeby mi nikt nie przeszkadzał.

- Doskonale. Zaraz pana sam osobiście zaprowadzę na najlepsze, moim zdaniem, stanowisko, gdzie krzaki są takie gęste, że aż trudno przez nie przebrnąć, i gdzie w promieniu pół kilometra nie będzie nikogo, kto mógłby panu przeszkodzić, panie Ferdynandzie - powiedział kierownik polowania. - Przedtem jednak, proszę panów - zwrócił się do wszystkich obecnych - chciałem powiedzieć kilka słów na temat warunków dzisiejszego polowania. Otóż, jak już wspomniałem, każdy z nas ma prawo do odstrzelenia trzech zające. Strzelamy tylko do godziny ósmej wieczorem. Po ósmej nie może być już oddany ani jeden strzał, choćby nawet zając usiadł nam na samym wylocie lufy. Czy wszyscy zrozumieli?

- Tak jest, panie magistrze! - zawołali chórem myśliwi. - Zro-zu-mie-liś-my!!!

- Dziękuję panom - powiedział aptekarz i zwracając się w stronę Ferdynanda dodał: - Teraz, panie Ferdynandzie, możemy iść.

Aptekarz zaprowadził Ferdynanda w takie krzaki, że ledwo się przez nie przedarli. W pewnym miejscu w tych gęstych zaroślach było jakby małe okienko, przez które było widać kapuściane pole.

- Tutaj będzie pan miał idealne warunki, panie Ferdynandzie - powiedział aptekarz. - Jest pan idealnie ukryty, a jednocześnie ma pan wspaniały punkt obserwacyjny na... jak pan to powiedział?

- Kapuściane Niebo - odpowiedział Ferdynand.
- O właśnie, na Kapuściane Niebo. Ponieważ myśliwy myśliwemu nigdy nie życzy powodzenia, życzę panu złamania nogi!
- A ja panu złamania dwóch nóg! - powiedział Ferdynand, który od urodzenia życzył wszystkim jak najlepiej..
Z tymi słowami rozstali się. Aptekarz wycofał się poprzez gęstwinię i wrócił do reszty myśliwych, a Ferdynand został sam, otoczony ze wszystkich stron naturalną fortecą krzaków.

Iv

Zostawszy sam, Ferdynand przede wszystkim zdjął z jednego ramienia strzelbę, a z drugiego trąbkę. Strzelbę oparł o rosnący w pobliżu krzak jałowca i przestał się nią od tej chwili zajmować. Trąbkę natomiast przez jakiś czas obracał na wszystkie strony, podziwiał błyski, jakie rozsyłała dokoła, i miał wielką ochotę troszkę sobie na niej potraścić. Przewyciężył się jednak, doszedł bowiem do wniosku, że skoro polowanie już się rozpoczęło, nie wypada trąbić na własną rękę bez zgody kierownika polowania.

Nacieszywszy się więc trąbką do syta, położył ją pod jakimś krzakiem.

Z kolei popatrzył na Kapuściane Niebo. Sterczało na nim tysiące główek kapusty, ale poza tym nic się nie działo. Po paru minutach obserwowania zaczęło mu się robić gorąco, w krzakach bowiem nie było najmniejszego nawet przewiewu.

- Uff, ugotuję się tutaj na tym całym stanowisku - mruknął do siebie i żeby sobie nieco ulżyć, zdjął myśliwski kapelusz z piórkiem i rzucił go na ziemię. Po kwadransie ściągnął myśliwskie sznurowane, wysokie buty, a po następnym kwadransie myśliwską kurtkę i dopiero wtedy poczuł się dobrze.

„Nie ma najmniejszego sensu stać tak bez przerwy przy tym okienku w krzakach i patrzeć na pole kapusty, na którym nic się nie dzieje - pomyślał sobie, kładąc się na ziemi obrośniętej grubym, miękkim mchem. - Poleżę sobie z pół godzinki, a potem zacznę obserwować...”

Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że Ferdynand musiał się odrobinę zdrzemnąć. Chociaż nie jest wykluczone, że odpoczywał tylko według najnowszej metody z zamkniętymi oczami. W każdym razie, kiedy otworzył wreszcie oczy, zobaczył wielkiego zająca obwąchującego jego strzelbę, którą, jak sobie przypominacie, oparł o krzak jałowca.

- Hej, ty! - powiedział szeptem Ferdynand.

Na dźwięk jego głosu zając jednym susem skrył się za jałowiec.

- Czego się boisz? - powiedział Ferdynand.

- Ciebiebiebiebie - odpowiedział drżącym głosem zając.

- Nie bądź głupi - mruknął Ferdynand. - Ja ci nic nie zrobię.

- A po co ta cała strzelbababa? - zapytał zając, którego drżenie udzieliło się również krzakowi jałowca i po tym tylko można było poznać, że za drżącym jałowcem siedzi drżący zając.

- Dali mi, to wzięłem - powiedział Ferdynand - ale wcale nie mam zamiaru z niej strzelać.

- Popopopoważnienienie? - zapytał zając.

- Popopopoważnienienie! - odpowiedział Ferdynand, przedrzeźniając jego drżący głos.

To ostatecznie przekonało zająca tak, że ośmielił się wytknąć zza jałowca koniuszki swoich długich wąsów.

- Sasasasasam jesteś? - zapytał.

- Sasasasasam - odparł Ferdynand. - A w ogóle to przestań się bać i mów normalnie. Dobrze?

- Dodododobrze! - zgodził się zając.

- Jak się nazywasz? - spytał Ferdynand.

- Szybciutki - odparł zając.

- A jak masz na imię?

- Kiciek.

- Co to za zdrobnienie?

- Nie mam pojęcia - powiedział zając. - Od małego wołali na mnie Kiciek i tak już zostało.

- Zdarza się - mruknął Ferdynand. - A ja nazywam się Wspaniały, a na imię mam Ferdynand.
- Bardzo mi miło - powiedział Kiciek Szybciutki, kiwając zza krzaka długimi uszami.
- Mnie też jest bardzo miło - odwzajemnił się Ferdynand - ale byłoby mi jeszcze milej, gdybyś zza tego krzaka wreszcie wylazł.

Kiciek jednym susem znalazł się obok Ferdynanda.

- Duży jesteś - powiedział z uznaniem Ferdynand, przyglądając się jego postaci.
- Jestem największy w okolicy - powiedział z dumą Kiciek. - Wszyscy mnie słuchają i, ja właściwie rządę wszystkimi zajęciami.
- To się świetnie składa - powiedział Ferdynand. - Trzeba ostrzec natychmiast wszystkie zające, żeby do godziny ósmej wieczorem nie wychodziły dzisiaj na Kapuściane Niebo.
- Co to jest Kapuściane Niebo? - zapytał Kiciek.
- Kapuściane Niebo, kapuściana głowo, to jest właśnie to, co widzisz przed sobą - powiedział Ferdynand, pokazując mu przez okienko w krzakach pole obsadzone główkami kapusty.
- W naszym języku to się nazywa Jadalnia - powiedział Kiciek.
- Niech będzie Jadalnia - zgodził się Ferdynand. - Otóż chodzi o to, żeby żaden zając nie szedł do Jadalni przed wybiciem ósmej. Rozumiesz?
- Rozumiem. Ale dlaczego?
- Dlatego, że będą strzelać.
- Kto?
- Inni myśliwi.

- Aha! No, to leczę! - zawołał Kiciek i pognał przez krzaki z zadziwiającą szybkością, całkowicie usprawiedliwiającą noszone przez niego nazwisko.

Po paru minutach był już z powrotem.

- Załatwione! - powiedział dysząc ciężko. - Żaden zając nie wyjdzie do Jadalni przed ósmą. Tylko skąd my będziemy wiedzieli, kiedy będzie ósma?
- Dowiemy się o tym spojrzawszy na zegar - wyjaśnił Ferdynand.
- A masz zegar? - spytał Kiciek.
- Nie mam - powiedział z rozbijającą szczerością Ferdynand. - Ale wśród zajęcy pewnie ktoś ma zegar...

- Nikt nie ma - powiedział przygnębionym głosem Kiciek.

- No, to klęska! - mruknął Ferdynand.

- I co teraz będzie? - zaczął się martwić Kiciek.

- Momencik... - powiedział Ferdynand i zamyślił się głęboko. Myślał i myślał, wreszcie po jakimś czasie, ni z tego, ni z owego, zapytał:

- Macie tu gdzieś w okolicy jakąś wieżę?

- Niby jaką? - spytał Kiciek.

- Wszystko jedno jaką - odparł Ferdynand. - Może być kościelna, strażacka albo magistracka...

- A po co ci wieża?

- Po co! Po co! - wrzasnął Ferdynand. - Po to, że bardzo często na wieży znajduje się zegar, dotarło?

- Dotarło! - krzyknął Kiciek i z wrażenia pokręcił wąsami. - Jest tu u nas w okolicy parę wież, tylko nie wiem, na której z nich jest zegar, bo prawdę mówiąc, nigdy mnie to dotychczas nie interesowało.

- Roześlij zające - powiedział Ferdynand - niech się dowiedzą.

Kiciek gwizdnął w specjalny sposób i natychmiast zjawiło się kilkanaście zajęcy.

- Przelećcie się po okolicy - powiedział do nich Kiciek - i szukajcie wież. Jak jaką znajdziecie, to popatrzcie, czy jest na niej zegar...

- I czy chodzi! - dodał Ferdynand. - Bo to jest bardzo ważne!

- Pędźcie bokami - mówił Kiciek.

- I pod żadnym pozorem nie przebiegajcie przez Kapuściane Niebo! - ostrzegł je Ferdynand.

- To znaczy przez Jadalnię! - przetłumaczył Kiciek słowa Ferdynanda na zajęczy.

Okazało się, że wieża z dobrze chodzącym zegarem znajduje się stosunkowo niedaleko. Zostawiono

przy niej jednego zająca, który z wybiciem godziny ósmej miał natychmiast wiadomość o tym przynieść do sztabu w krzakach. Pozostałe zające otrzymały rozkaz dokładnego pochowania się po najrozmaitszych kryjówkach, a dzieci na siłę zagnano nawet do nor.

Kiciek i Ferdynand przykucnęli sobie w krzakach, nawzajem podawali sobie trąbkę i robili do niej najprzedziwniejsze miny. Te ich miny wydłużały się i wykrzywiały na dziesiątki sposobów w wypolerowanym jak lustro mosiądzu trąbki, co z kolei doprowadzało ich do ataków śmiechu. Ze względu jednak na konieczność zachowania absolutnej ciszy, śmiali się wyłącznie do wewnątrz, tak że nie wydali z siebie przez cały czas tej zabawy najmniejszego nawet chichnięcia.

V

Do godziny ósmej wieczorem nie padł, oczywiście, ani jeden strzał. Myśliwi (z wyjątkiem Ferdynanda, który dalej siedział w krzakach z Kiciem) opuścili swoje stanowiska i zebraли się wokół kierownika apteki.

- Ani pół zająca nie widziałem... - odezwał się jeden z nich.

- Ani nawet ćwierć... - dodał drugi.

- Ani nawet jednej ósmej... - żalił się trzeci.

- Ani zajęczego ogona... - załkał czwarty.

- Ani zajęczego ucha... - zamruczał piąty.

- Nawet cień zajęczy nie mignął mi przed oczami... - powiedział machając ze zrezygnowaniem ręką szósty.

- Ładne mi polowanie... - zaśmiał się gorzko siódmy.

- Po trzy zające każdy z nas miał ustrzelić... - szepnął ironicznie ósmy.

- A razem tych zajęcy miało być trzydzieści trzy. Cha, cha, cha... - zachichotał dziewiąty myśliwy.

Dziesiąty myśliwy, to znaczy kierownik polowania, odsunął na tył głowy swój myśliwski kapeluszek z piórkiem i rozpaczliwie drapał się palcem w czoło.

- Nic nie rozumiem - powtarzał - nic nie rozumiem. To jest najlepsze miejsce, jakie znam. Zawsze pod wieczór przychodzą do tej kapusty setki zajęcy. A dzisiaj nic.

- Może to nie tutaj - szepnął któryś z myśliwych. - Może jest jeszcze jakieś inne Kapuściane Niebo?

- Nonsens - powiedział aptekarz. - Kapuściane Niebo jest jedno. O żadnej pomyłce mowy być nie może.

- A może zjawią się później? Może coś im wypadło, jakieś zebranie czy coś w tym rodzaju? - odezwał się ktoś z gromady.

- Niemożliwe - odparł stanowczo aptekarz. - Kapusta jest dla zająca ważniejsza od wszystkich zebrań.

- Ale gdyby tak teraz wyszły, to można by jeszcze do nich palnąć... - zaproponował jeden z myśliwych.

- Wykluczone! - zaprotestował aptekarz. - Powiedzieliśmy, że strzelamy tylko do ósmej, i musimy być konsekwentni, panowie! Albo myśliwi mają słowo, albo go nie mają.

- Ma-ją!!! - zawołali gromko wszyscy zebrani.

- Wobec tego proszę wyjąć naboje z luf! - rozkazał aptekarz.

Rozległo się trzaskanie strzelb i wszyscy zaczęli wyjmować z luf pociski, które tam tkwiły w oczekiwaniu na zające.

- Gotowe? - zapytał kierownik polowania.

- Go-to-we!!! - odpowiedzieli chórem.

- Poczekamy jeszcze na pana Ferdynanda - powiedział aptekarz - jego stanowisko znajdowało się bardzo daleko. Potem pojedziemy do domciu.

- A co z tradycyjnym ogniskiem? - rozległ się jakiś głos.

- Nie sądzę, abyśmy mieli prawo palić tradycyjne ognisko - powiedział aptekarz. - Ognisko jest swego rodzaju nagrodą dla myśliwych, którzy podczas polowania odnieśli jakieś sukcesy. A jakie sukcesy dzisiaj odnieśliśmy, panowie, my?

Wszyscy opuścili głowy w dół wyraźnie zawstydzeni. Rzeczywiście, kiepsko było z tymi

sukcesami.

- Może by jednak zapalić... - ośmielił się ktoś zaproponować.
- Nie musi być od razu takie duże... - podjęli inni.
- Zapalmy sobie skromniutkie...
- Malutkie...
- Trochę przyjemności przecież nam się należy...
- Ostatecznie - powiedział aptekarz - małe ognisko można by zapalić, czemu nie?
- No, to bierzmy się do roboty! - zawołali pozostali.
- Trzeba nazbierać gałęzi!
- Patyków!
- I jałowca! - dorzucił aptekarz. - Żeby był dym!

Vi

Było pewnie jakieś sześć albo siedem po ósmej, kiedy w krzaki wpadł zdyszany od szalonego biegu zając, ten, którego zostawiono pod wieżą.

- Już jest ósma! - wołał łapiąc powietrze. - Już jest ósma.
- Czy jesteś tego pewien? - zapytał poważnie Ferdynand.
- O, proszę pana, ja się znam na zegarze! - powiedział z dumą zając.
- Patrzyłeś na wskazówki?
- Patrzyłem na wskazówki i liczyłem, jak wybijał ósmą - powiedział zając ciężko dysząc.
- No to dobrze - powiedział Ferdynand i poklepał zająca. - Bardzo ładnie się spisaleś, mój drogi. Połóż się teraz trochę i odpocznij.

Zając położył się na mchu, zadowolony z pochwały i spełnionego obowiązku.

- Słuchaj no, Kiciek - zwrócił się Ferdynand do najważniejszego zająca, który w dalszym ciągu przeglądał się w trąbce. - Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę...
- Słucham cię... - powiedział Kiciek, nie przerywając swego zajęcia.
- Potrzebne mi są trzydzieści trzy zające... - powiedział Ferdynand.
- Co za dziwna cyfra! - zawołał Kiciek. - Dlaczego akurat trzydzieści trzy?
- Za dużo by trzeba było tłumaczyć - powiedział Ferdynand. - Potrzebne mi są trzydzieści trzy zające, i tyle. Chodzi tylko o to, żeby to były zające całą gębą, rozumiesz?
- Rozumiem. Zaraz zawołam wszystkie zające i będziesz sobie mógł wybrać.

Znów zagwizdał po swojemu i po krótkiej chwili zaroilo się wkoło od zającey. Ferdynand z Kicikiem oglądali je wszystkie bardzo dokładnie, wreszcie wybrali spośród nich trzydzieści dwa najlepiej się prezentujące.

- Chciałeś przecież trzydzieści trzy - powiedział Kiciek, kiedy Ferdynand oznajmił mu, że będzie już dość - a my mamy dopiero trzydzieści dwa.
- Mamy trzydzieści trzy - powiedział zdecydowanym tonem Ferdynand.
- Ejże - mruknął powątpiewająco Kiciek. - Mamy dopiero trzydzieści dwa, sam liczyłem.
- A ja ci mówię, że mamy trzydzieści trzy!
- A gdzie ten trzydziesty trzeci? - spytał Kiciek.
- A tu! - powiedział Ferdynand, wskazując na Kićka.
- To mnie też wybrałeś? - ucieszył się Kiciek.
- A co ty myślałeś? Ty jesteś przecież najwspanialszy z nich wszystkich!
- I co my teraz będziemy robić? - spytał Kiciek, którego to wszystko ogromnie zaczynało ciekawić.
- Pójdziemy złożyć wizytę moim przyjaciółom - powiedział Ferdynand.
- Co to za przyjaciele? - zainteresował się Kiciek.
- Moi przyjaciele myśliwi, z którymi przyjechałem dzisiaj na polowanie - wyjaśnił Ferdynand.
- I my mamy do nich iść? - zapytał przerażony Kiciek.
- A czemu nie? - powiedział Ferdynand.
- Oni mogą do nas strzelać.
- Gwarantuję ci, że nie będą strzelać - powiedział uroczyście Ferdynand.

- Ani razu?
- Ani razu.
- A co my tam będziemy robić?
- Będziemy sobie siedzieć przy ognisku, rozmawiać o różnych rzeczach i jeść bigos.
- Bigos?
- Tak, bigos.
- A co to jest ten bigos? - zapytał Kiciek, który pierwszy raz o czymś takim słyszał.
- To jest taka potrawa - powiedział Ferdynand.
- Dobra?
- Fantastyczna.
- Nie wiem, czy nam ten cały bigos będzie smakował - powiedział z powątpiewaniem Kiciek.
- Na pewno będzie - oświadczył Ferdynand.
- Skąd wiesz?
- Bo w bigosie jest coś, co bardzo lubicie. Za czym przepadacie. Za czym szalejecie...
- Ciekaw jestem, co też to może być takiego? - zaczął się zastanawiać Kiciek.
- Żebyś się nie męczył zgadywaniem, powiem ci od razu - powiedział Ferdynand. - W bigosie są takie zielone liście, które rosną w postaci bardzo twardych główek...
- Kapusta!!! - wrzasnął Kiciek, aż echo poszło po lesie.
- Ano kapusta, kapusta - przytaknął Ferdynand, rycząc ze śmiechu.

Vii

Myśliwi gwarzyli sobie w najlepsze siedząc dokoła niewielkiego ogniska, gdy wtem bezszelestnie zjawiał się Ferdynand na czele swoich trzydziestu trzech zajęcy.

- Kłaniamy się panom myśliwym!!! - ryknęli pełnym głosem, podchodząc do ogniska bliżej. Tego okrzyku wyuczył ich Ferdynand po drodze. Ćwiczyli go dla wprawy w sposób bezdźwięczny, poruszając tylko wargami, żeby broń Boże nie zdradzić własnej obecności.

Myśliwi zerwali się na równe nogi, które z przestachu zaczęły im niesamowicie drżeć.

- Kto idzie? Kto idzie? - krzyknął przerażony aptekarz.

- My - zawołał Ferdynand.

- Co za my?

- My, zajęce!

Aptekarz przyłożył dłoń do oczu, bo blask ogniska mu przeszkadzał, i ujrzawszy Ferdynanda, krocącego na przedzie, zawołał:

- Ach, to pan, panie Ferdynandzie! Ale widzę, że pan nie jest sam... Któż to podąży za panem?...

- Nie poznaje pan? - zdziwił się Ferdynand.

- Zdaje się, że to są, po prostu mówiąc, zajęce - powiedział aptekarz wpatrując się uważnie.

- Mnie się też tak zdaje, po prostu mówiąc - powiedział, przedrzeźniając go Ferdynand.

- Skąd one się tu wzięły? - spytał aptekarz, wpatrując się wytrzeszczonymi oczami w oddział najwspanialszych zajęcy, jakie kiedykolwiek widział. Pozostali myśliwi też wpatrywali się w te zajęce bez słowa, jak zaczarowani.

- Przyszły ze mną - powiedział obojętnym tonem Ferdynand.

- Jak to, przyszły z panem? - zdziwił się aptekarz.

- Lubią mnie, więc przyszły - odparł Ferdynand. - Niech pan je teraz poprosi, żeby usiadły przy ognisku. Nie będziemy przecież tak stać przez całą wieczność...

- Ależ oczywiście - powiedział aptekarz. - Panowie będą łaskawi siadać... - zwrócił się do zajęcy. - Boże, ile ich jest - mruknął sam do siebie.

Ferdynand usłyszał to jego mruknięcie.

- Niech pan policzy - powiedział.

Aptekarz zaczął liczyć:

- Raz... dwa... trzy... osiem... jedenaście., dwadzieścia... dwadzieścia pięć... trzydzieści... trzydzieści trzy... Trzydzieści trzy. Chyba się nie mylę, prawda, panowie? - zwrócił się do pozostałych

myśliwych.

Myśliwi również, każdy na własną rękę, liczyli po cichu te zające, więc tylko głowami kiwnęli potakująco na znak, że rzeczywiście liczba się zgadza.

- Zdaje się, że tyle właśnie mieliśmy dzisiaj upolować? - powiedział Ferdynand.

Myśliwi, łącznie z aptekarzem, spuścili głowy do ziemi.

- Ile pan upolował dzisiaj zające? - spytał aptekarza Ferdynand.

- Ani jednego - odparł aptekarz, nie patrząc Ferdynandowi w oczy.

- A oni? - zapytał Ferdynand, wskazując pozostałych myśliwych.

- Też ani jednego - powtórzył aptekarz.

- A ile ja upolowałem?

- Pan, panie Ferdynandzie, upolował trzydzieści trzy zające.

- Kto jest wobec tego najlepszym myśliwym w tym towarzystwie?

- Pan, panie Ferdynandzie! - powiedział aptekarz.

- Pan, panie Ferdynandzie! - powtórzyła reszta.

- Dziękuję panom... - powiedział wzruszony Ferdynand. - Mam do pana jeszcze jedno pytanie -

zwrócił się do aptekarza. - Czy ja mogę zrobić z tymi zającami, co mi się podoba?

- Ależ oczywiście, panie Ferdynandzie... - odparł aptekarz, a pozostali przytaknęli głowami.

- Świetnie - powiedział Ferdynand - zapraszam więc je na tradycyjny bigos!

Wyciągnięto z samochodu hermetyczne naczynie, otworzono je i natychmiast rozkoszny zapach bigosu rozszedł się po całej polanie. Ferdynand bardzo był ciekaw, jak im też ten bigos będzie smakował, ale o tym nie dowiedział się już nigdy...

\\

- Czy to jest ten pies, który pani zginął? - usłyszał przez sen jakiś głos.

Ferdynand otworzył ciut-ciut lewe oko i ujrzał nad sobą milicjanta w mundurze i z paskiem pod brodą, a obok niego własną panią.

- Tak, to mój Ferdynand - powiedziała pani i zaczęła targać Ferdynanda za obrożę. - Ferdynandzie!

Zbudź się, Ferdynandzie! Co to za pies niemożliwy! Już trzeci raz ucieka do parku, proszę pana.

- No, jazda, złaż z tej ławki - powiedział milicjant, klepiąc Ferdynanda. - Nie można tak bez przerwy spać...

- Kiedy ja wcale nie spałem... - powiedział Ferdynand wpatrując się swymi wiernymi oczami w panią. - Ja tylko odpoczywałem, według najnowszych metod, z zamkniętymi oczami...

Ale pani nic z tego nie zrozumiała.

Właściciel parasola

I

Ferdynand od dawna marzył o parasolu.

Proszę się nie śmiać, to nie jest nic śmiesznego. Marzenia przybierają najdziwniejszą nieraz formę i najdziwniejsze nieraz rzeczy stają się obiektem naszych marzeń.

Jeden na przykład marzy w lecie o łyżwach, drugi marzy w zimie o kąpielu w morzu, a trzeci marzy jesienią o świeżych truskawkach. Naturalnie, że wszystkie te marzenia nie mogą być natychmiast spełnione. Ten, który marzy o łyżwach, musi ze spełnieniem swych marzeń czekać do zimy, ten, który marzy o kąpielu w morzu, musi czekać do lata, a ten, który marzy o świeżych truskawkach, musi czekać do wiosny.

A jak długo trzeba czekać, żeby się spełniło marzenie o parasolu?

Ba, nikt tego nie wie.

W każdym razie Ferdynand marzył o parasolu od bardzo, bardzo dawna.

A dlaczego marzył?

Czy ja wiem... Nikt Wam chyba na to pytanie nie odpowie. Bo do dzisiejszego dnia nie wiadomo właściwie, dlaczego nagle zaczyna się o czymś marzyć. Marzenie zjawia się ni stąd, ni zowąd, przylatuje jak jakaś natrętna mucha i zaczyna wokół nas krążyć, krążyć, krążyć... Mija krótki okres

czasu, niekiedy kilka sekund, i już zdajemy sobie sprawę, że ta mucha to nic innego, jak tylko - nasze marzenie.

Któregoś dnia Ferdynand zwierzył się z tego swojego marzenia staremu szafkowemu zegarowi, który stał w kącie pokoju i z którym od wielu lat żył w wielkiej przyjaźni.

- Nie masz pojęcia, mój kochany Bimbomie - powiedział, zegar bowiem miał na imię Bimbom - jak bardzo chciałbym być właścicielem parasola.

- Rozumiem cię doskonale - odezwał się Bimbom - choć z mojego punktu widzenia parasol jest rzeczą absolutnie zbędną.

- Jeśli ktoś w ogóle nie wychodzi na miasto, to pewnie, że parasol jest dla niego rzeczą absolutnie zbędną - powiedział Ferdynand.

- To prawda - przytaknął Bimbom. - Prawie zaraz po urodzeniu postawili mnie w tym kącie i mimo że bez przerwy chodzę, to na miasto nie wyszedłem ani razu.

- Po prostu chodzisz w miejscu...

- Właśnie - powiedział Bimbom. - Ale doskonale rozumiem, że ktoś chce mieć parasol...

- Ten ktoś to ja! - powiedział Ferdynand wskazując na siebie. - Co trzeba zrobić, żeby mieć parasol?

- Trzeba sobie kupić - powiedział Bimbom.

- A co trzeba zrobić, żeby sobie kupić? - zapytał Ferdynand.

- Trzeba mieć pieniądze - odparł Bimbom.

- A jak się nie ma?

- To trzeba zbierać.

- A długo trzeba zbierać?

- To zależy od tego, jaki się chce mieć parasol.

- Najwspanialszy, jaki tylko może być! - zawołał Ferdynand.

- Na najwspanialszy, jaki tylko może być, trzeba zbierać bardzo długo - powiedział Bimbom.

- Jak długo? - chciał koniecznie wiedzieć Ferdynand.

- To znów zależy od tego, czy się szybko zbiera pieniądze, czy wolno... - odparł Bimbom. - Chyba, że się weźmie pożyczkę...

- A czy istnieją pożyczki na kupno parasola? - zainteresował się Ferdynand.

- Jeśli istnieją pożyczki na budowę domu albo na kupno mebli, to powinny, moim zdaniem, istnieć pożyczki na kupno parasola. Musisz tylko odpowiednio uzasadnić podanie o pożyczkę...

- Jak uzasadnić?

- No, napisać w podaniu, na przykład, że parasol jest ci niezbędnie potrzebny do wykonywania czynności zawodowych, w celu... w celu...

- W celu niemoknięcia - podpowiedział Ferdynand.

- Może być w celu niemoknięcia - powiedział Bimbom. - Bardzo dobre uzasadnienie. Możesz napisać jeszcze, że jak przemokniesz w czasie wykonywania czynności zawodowych, to możesz się przeziębnić...

- No pewnie, że mogę - zgodził się Ferdynand.

- A jak się przeziębisz, to możesz mieć katar...

- Masz rację. Ile razy się przeziębę, to zawsze mam katar - powiedział z przekonaniem Ferdynand.

- A jak masz katar, to kichasz...

- Jeszcze jak!

- A jak kichasz, to zarażasz innych...

- Zdaje się, że tak...

- I wtedy ci inni łapią katar od ciebie, kichają i zarażają jeszcze innych, którzy znów z kolei łapią katar, kichają i tym kichaniem zarażają następnych... A wszystko przez co?

- No?

- Przez to, że ty nie masz parasola! - powiedział Bimbom niesłychanie dumny z siebie.

- No widzisz! - zawołał Ferdynand. - Widzisz, że parasol jest mi niezbędnie potrzebny.

- Możesz napisać w podaniu, że parasol jest ci niezbędnie potrzebny nie tylko ze względu na niemoknięcie, ale również ze względu na dobro ogółu... Fakt nieposiadania bowiem przez ciebie parasola odbija się niekorzystnie na innych, którzy są narażeni na zarażenie się kataram od

przemokniętego ciebie.

- Zaraz napiszę takie podanie - powiedział Ferdynand. - Czy pomożesz mi, kochany Bimbomie?
- Pomogę ci układać zdania, ale pisać będziesz sam, bo tak na stojąco, to mi niewygodnie... - powiedział zegar. - A wiesz chociaż, jaki ma być ten twój parasol?
- Chciałbym - powiedział Ferdynand marząco - żeby był elegancki... Żeby miał bambusową rączkę i jedwabne pokrycie...
- Jakiego koloru?
- Niebieskiego jak niebo.
- Niebieski jest niepraktyczny - powiedział Bimbom. - Bardzo szybko spłowieje na słońcu.
- To ja nie będę z nim chodził po słońcu - powiedział stanowczo Ferdynand. - Zresztą z parasolem chodzi się po deszczu, a nie po słońcu.
- Ale mądrała z ciebie - odezwał się zegar. - A ile razy zaraz po deszczu świeci słońce, co?
- Bardzo często - powiedział Ferdynand.
- A czasami to nawet zdarza się, że deszcz pada, a słońce świeci. Zdarza się, czy nie?
- Zdarza się - przyznał Ferdynand.
- I wtedy parasol może wyblaknąć?
- Może.
- Dlatego nie kupuj niebieskiego, kochany Ferdynandzie - powiedział Bimbom i zabimbomił głośno dziesięć razy, bo właśnie minęła dziesiąta. - Tak się z tobą zagadałem o tym parasolu, że o mało co nie przegapiłem dziesiątej.
- No to jaki kupić? - spytał Ferdynand. - Czerwony?
- Czerwony za bardzo rzuca się w oczy - powiedział Bimbom. - Z daleka będzie cię widać, gdzie się nie ruszysz.
- To doskonale - ucieszył się Ferdynand. - Niech się rzuca! Niech wszyscy widzą mnie i mój parasol.
- Ale wtedy nie będziesz miał nawet chwili samotności. Po czerwonym parasolu natychmiast będzie wiadomo, gdzie się w danym momencie znajdujesz, i będziesz bez przerwy otoczony krewnymi i znajomymi. A przecież od czasu do czasu pożąda się samotności...
- To prawda - zgodził się Ferdynand. - Więc jaki kupić? Zielony?
- Zielony też niedobry - powiedział Bimbom.
- Dlaczego?
- Bo nie rzuca się w oczy w lecie. A właśnie głównie w lecie chodzimy z parasolem.
- Jak to: nie rzuca się w lecie w oczy? - zapytał Ferdynand.
- Zwyczajnie. Nie rzuca się w lecie w oczy dlatego, że w lecie jest zwykle bardzo dużo zieleni i na jej tle zielony parasol jest zupełnie niewidoczny... A ty chcesz, żeby było widać twój parasol...
- Przekonałeś mnie - powiedział Ferdynand. - A co myślisz o fioletowym parasolu?
- Nieee - skrzywił się z niesmakiem zegar i poruszył wskazówkami jak wąsami. - Fioletowy parasol wygląda niepoważnie...
- A jaki wygląda poważnie?
- Poważnie, moim zdaniem, wygląda tylko czarny parasol - powiedział Bimbom.
- Czarny? - zdziwił się Ferdynand.
- A czarny, czarny! - potwierdził Bimbom.
- Czarny kolor jest smutny.
- Czarny kolor jest takim samym kolorem, jak każdy inny - powiedział Bimbom. Jeśli chcesz być poważnym, powinieneś stanowczo kupić czarny parasol...
- Pewnie że chcę być poważnym! - powiedział Ferdynand.
- Bierz wobec tego papier i pióro, siadaj i pisz podanie...

li

Do kogo trzeba napisać takie podanie? - spytał Ferdynand, kiedy już zdobył papier, pióro i atrament.

- Do kogoś, kto przyznaje pożyczki - powiedział Bimbom.

- A kto przyznaje pożyczki?

- Bank.

Ferdynand umoczył pióro w atramencie, poprawił się na krześle i zaczął pisać, głośno przy tym wymawiając każdą pisaną sylabę. ``Sza-now-ny pa-nie Bank..."

- Bank to nie jest żaden pan - przerwał mu Bimbom.

- Tylko? - zapytał Ferdynand.

- Bank to jest budynek, w którym są pieniądze...

- No, to dobrze - powiedział Ferdynand. - To ja zaraz poprawię. I przekreśliwszy napisane poprzednio zdanie, zaczął pisać od nowa:

``Sza-now-ny pa-nie bu-dy-nek, w którym są pie-nią-dze..."

- Co ty tam wypisujesz! - zawołał zegar. - To przecież nie ma najmniejszego sensu!

- Przecież muszę jakoś to całe podanie zatytułować - powiedział Ferdynand.

- Ale nie w ten sposób.

- A jak?

- Napisz tak: Do Banku Pożyczkowego...

- Dlaczego pożyczkowego? - zapytał Ferdynand.

- Bo jak daje pożyczki, to jest pożyczkowy, rozumiesz? Napisz więc: Do Banku Pożyczkowego...

``Do ban-ku po-rzycz-ko-we-go..." - napisał Ferdynand.

Bimbom zajrzał mu przez ramię i aż mu się zrobiło słabo.

- Jak tyś to napisał? - zawołał. - Przede wszystkim trzeba to napisać z dużych liter, a poza tym Pożyczkowy pisze się przez ż, a nie przez rz. Popraw to zaraz!

Ferdynand poprawił, a wtedy Bimbom zaczął dyktować dalej:

- Proszę uprzejmie o udzielenie mi pożyczki na kupno parasola, który jest mi niezbędnie potrzebny...

``Pro-szę u-pżej-mie o udzie-le-nie mi Po-życz-ki na kóp-no pa-ra-so-la ktury jest mi niez-będ-nie pot-żeb-ny..." - sylabizował Ferdynand, stawiając litery na papierze. - Dobrze tak będzie?

- Nie bardzo - powiedział Bimbom. - Uprzejmie pisze się przez rz, kupno przez u, który przez ó, a potrzebny przez rz. Ponadto przed: który - powinien być przecinek, a słowo: pożyczka powinno być napisane z małej litery.

- Kiedy to jest bardzo ważna pożyczka, dlatego chciałem ją uczcić w odpowiedni sposób - powiedział Ferdynand i wziął się do poprawiania.

- Poprawiłeś już? - spytał zegar.

- Poprawiłem - odparł Ferdynand.

- No i co teraz?

- Teraz przepiszę to podanie na czysto i włożę do koperty - powiedział Ferdynand.

- A kto o tę pożyczkę prosi? - spytał Bimbom.

- Jak to kto? Ja! - zawołał Ferdynand.

- A skąd oni w Banku Pożyczkowym mają o tym wiedzieć?

- To ja dopiszę jeszcze, że to ja - powiedział Ferdynand i napisał pod podaniem wielkimi literami ``JA".

- Na podaniu nie pisze się: ja, tylko imię i nazwisko - powiedział zegar. - Proszę przekreślić to niemądre ja i podpisać się pełnym imieniem i nazwiskiem...

Ferdynand przekreślił JA i napisał trochę krzywo, ale za to bardzo wyraźnie: ``Fer-dy-nand Wspa-nia-ły".

- Dobrze przynajmniej, że we własnym nazwisku nie robisz błędów - powiedział Bimbom. - A teraz przepisz to wszystko na czysto.

Ferdynand wziął się do przepisywania.

Za pierwszym razem zaczął za bardzo od góry, wskutek czego zostało mu po napisaniu mnóstwo pustego miejsca u dołu, co wyglądało bardzo nieładnie.

Za drugim razem zaczął za bardzo od dołu, wskutek czego zostało mu po napisaniu mnóstwo pustego miejsca u góry, co wyglądało jeszcze gorzej.

Za trzecim razem zaczął akurat pośrodku, ale wyszło mu to całe pisanie tak strasznie krzywo, że aż

się sam przeraził.

Za czwartym razem wszystko wyszło tak, jak trzeba, ale w ostatnim momencie, po wykonaniu pięknego zawijasa we własnym podpisie, Ferdynand zgubił z pióra wielką kroplę atramentu, która natychmiast zamieniła się w rozpaczliwy kleks.

Dopiero za piątym razem udało mu się podanie przepisać bez błędów i bez kleksów.

- Teraz możesz z tym iść do Banku Pożyczkowego - powiedział Bimbom.

- A gdzie jest ten bank? - spytał Ferdynand.

- Tego to ja już nie wiem - odparł zegar i zaczął się zbierać w sobie, żeby mieć siłę na wybicie godziny jedenastej, która się akurat zbliżała. Zabimbomił sobie jedenaście razy, a kiedy skończył, powiedział sapiąc ze zmęczenia: - Uff, najbardziej to lubię wybijać pierwszą...

- No, to ja lecę na miasto - powiedział Ferdynand, kładąc podanie do koperty.

lil

Nie będę nikogo pytał, gdzie jest ten Bank Pożyczkowy - postanowił Ferdynand, kiedy już był na ulicy. - Po co od razu wszyscy mają wiedzieć, że ja, Ferdynand, zaciągam pożyczkę na kupno parasola... Sam sobie znajdę, bez niczyjej łaski... Taki bank na pewno musi być gdzieś w śródmieściu... Ostatecznie w śródmieściu nie ma znów tak dużo ulic... Może najwyżej sto albo dwieście... Jak się zacznie biegać, to raz dwa obleci się te wszystkie ulice i w końcu się znajdzie... Trzeba tylko uważać na szyldy... Taki bank na pewno ma jakiś duży szyld, taki, co to go z daleka można zauważyć...

I Ferdynand zaczął biegać ulicami jak szalony.

Biegał i biegał, i ciągle nie mógł znaleźć tego banku, o który mu chodziło. Były różne inne banki, ale Pożyczkowego nie było ani śladu. Wreszcie, kiedy już prawie stracił nadzieję, wpadł mu w oczy, kiedy wyskoczył zza rogu jakiejś poprzecznej ulicy na główną aleję, ogromny napis:

\\

``Bank Pożyczkowy"

\\

- To tutaj - pomyślał sobie i straszliwie się ucieszył.

Dostojnym krokiem wszedł do wnętrza przez obracające się dokoła drzwi, bo szanujące się banki nigdy nie mają drzwi normalnych, takich, co to się je zwyczajnie otwiera pociągając za klamkę, ale mają drzwi kręcące się stale w kółko.

Ferdynandowi tak te drzwi przypadły do gustu, że zamiast raz wejść do banku, wszedł kilkanaście razy i dopiero kiedy miał już dosyć tego wchodzenia, pozostał w hallu i rozejrzał się za kimś, z kim można by porozmawiać na temat podania. Zobaczył całą masę okienek, a w każdym okienku siedział urzędnik albo urzędniczka. Obejrzał sobie wszystkie po kolei, wreszcie podszedł do okienka, w którym urzędowała młoda panienka, ponieważ ta młoda panienka najbardziej mu się podobała.

- Moje uszanowanie łaskawej pani - powiedział. - Przyniosłem podanie.

- W jakiej sprawie? - zapytała panienka, nie patrząc nawet na Ferdynanda.

- W sprawie pożyczki - wyjaśnił Ferdynand.

- Niech pan mi da to podanie - powiedziała panienka.

Ferdynand wręczył jej kopertę z podaniem.

- To chyba pomyłka - powiedziała urzędniczka przeczytawszy podanie Ferdynanda. - Tu pewnie miało być coś innego zamiast parasola!

- Nie, proszę pani - powiedział Ferdynand. - Tam miał być parasol, tak jak jest.

- Więc panu chodzi o otrzymanie pożyczki na parasol? - spytała zdumiona urzędniczka.

- Tak, proszę pani, na parasol - odparł Ferdynand.

- Muszę panu powiedzieć, że pierwszy raz spotykam się z takim podaniem. Będziemy musieli iść z tym do kierownika działu.

Poszli do kierownika działu, który urzędował na czwartym piętrze.

- Mam tutaj podanie tego pana - powiedziała urzędniczka, kiedy już znaleźli się w gabinecie

kierownika działu. - Przyznam się, że nigdy dotąd nie spotkałam się z podaniem tego typu.

- O cóż to chodzi? - spytał kierownik działu odsuwając na czoło ogromne rogowe okulary.

- O pożyczkę - wtrącił szybko Ferdynand.

- O pożyczkę - potwierdziła urzędniczka - ale niech pan kierownik zgadnie, na co?

- Na dom? Na meble? - zaczął zgadywać kierownik.

- Nic podobnego. Na parasol - powiedziała urzędniczka.

- Na parasol?! - zdziwił się kierownik. - Pierwszy raz o czymś takim słyszę. Będziemy musieli z tym pójść do inspektora.

Kierownik działu, urzędniczka i Ferdynand zeszli o piętro niżej do gabinetu inspektora.

- Słucham państwa, co tam znowu nowego? - zapytał inspektor, odrywając się od papierów, którymi było zavalone jego biurko.

- Sprawa jest wyjątkowa - powiedział kierownik działu - dlatego tylko pozwoliliśmy sobie zabierać czas panu inspektorowi... Ten pan, który jest z nami, złożył podanie o pożyczkę...

- Jeśli tylko podanie jest odpowiednio umotywowane, to przyznać pożyczkę, i nie ma nawet o czym mówić - powiedział inspektor, który od pierwszego wejrzenia poczuł sympatię do Ferdynanda.

- Podanie jest odpowiednio umotywowane, panie inspektorze - powiedział kierownik działu - chodzi jednak o to, że cel jest niecodzienny...

- Na co mianowicie ma być przeznaczona ta pożyczka? - zapytał inspektor.

- Na parasol, panie inspektorze - wyjaśnił kierownik działu, a urzędniczka i Ferdynand przytaknęli głowami.

- Niech pan powtórzy, bo się chyba przesłyszałem - powiedział inspektor.

- Nie przesłyszał się pan, panie inspektorze - powiedział kierownik działu. - Istotnie, chodzi o pożyczkę na parasol.

- Bardzo mi przykro - odezwał się na to inspektor - ale ja decyzji w takich niezwykłych sprawach nie mogę podejmować sam. Jeśli państwo pozwolą, to przejdziemy z tym do naczelnika.

Inspektor, kierownik działu, urzędniczka i Ferdynand znów zeszli o piętro niżej do gabinetu naczelnika.

- Proszę! - zabrzmiał bas naczelnika, kiedy inspektor zapukał do drzwi. - A cóż to za procesja! - dodał ujrzawszy całą czwórkę wchodzącą do jego gabinetu. - Czym mogę służyć?

- Pan Wspaniały przyszedł do nas z podaniem o udzielenie mu pożyczki - powiedział inspektor.

- Z prawdziwą przyjemnością udzielimy mu pożyczki - powiedział naczelnik i poprosił, aby wszyscy usiedli. - Nasza instytucja jest właśnie stworzona po to, żeby udzielać pożyczek tym wszystkim, którzy ich potrzebują.

- Wiem o tym, panie naczelniku - powiedział inspektor - i nie byłoby z udzieleniem pożyczki panu Wspaniałemu najmniejszego kłopotu, gdyby nie fakt, że pożyczka ta ma być przeznaczona na kupno... parasola.

- Jak to? Zwyczajnego parasola? - zahuczał swym basem naczelnik.

- Tak jest, panie naczelniku - odpowiedział inspektor, a kierownik działu, urzędniczka i Ferdynand przytaknęli głowami.

- Niech no pan mi da to podanie! - powiedział naczelnik.

Wziął podanie Ferdynanda z rąk inspektora i pomrukując co chwila przeczytał je kilka razy od początku do końca.

- Nie ulega wątpliwości - powiedział wreszcie - że chodzi o pożyczkę na kupno parasola... W zasadzie nasz bank nie ma nic przeciwko temu, żeby ktoś za udzieloną mu pożyczkę kupił sobie parasol, ale... - Tu naczelnik zaczął się drapać kłopotliwym ołówkiem po łysej głowie, wykreślając tym samym nieświadomie fioletowe wzorki na łysinie. - Ale... ponieważ jest to rzecz bez precedensu, wolałbym porozumieć się przedtem w tej sprawie z naszym dyrektorem. Chodźmy do dyrektora!

Naczelnik, inspektor, kierownik działu, urzędniczka i Ferdynand znów zeszli o piętro niżej. Znaleźli się teraz na pierwszym piętrze przed drzwiami gabinetu dyrektora. Na szczęście dyrektor przyjął ich zaraz, ponieważ dotarła już do niego wieść krążąca po całym banku, że jest jakaś niesłychanie poważna sprawa do załatwienia.

- Słyszałem, że macie jakieś problemy - powiedział, kiedy zamknęły się za przybyłymi grube, obite ciemną skórą drzwi.

- Mamy tu podanie obecnego tu pana Ferdynanda Wspaniałego, w sprawie otrzymania pożyczki... - zaczął referować sprawę naczelnik.

- Mam wrażenie, że tego typu podania nie są w naszym banku czymś wyjątkowym - zaśmiał się dyrektor.

- Naturalnie że nie, panie dyrektorze - przyznał naczelnik. - Nasz bank otrzymuje dziennie paręset podań o udzielenie pożyczek. Ale takiego, jak długo nasz bank istnieje, jeszcze nie było, panie dyrektorze! - zawołał i dramatycznym gestem położył podanie Ferdynanda na biurku dyrektora. Dyrektor błyskawicznie je przeczytał, twarz mu poweselała i zacierając dłonie wrzasnął:

- Nareszcie coś nowego!!! Brawo, panie Ferdynandzie!!! Wszyscy bez przerwy chcą pieniędzy na domy, na meble, na samochody, a tu nareszcie zjawił się ktoś, kto potrzebuje pieniędzy na piękny, na szlachetny, powiedziałbym, cel, na parasol! Ile panu tych pieniędzy trzeba, bo nie wymienił pan sumy?

- Nie mam pojęcia, panie dyrektorze, ile może kosztować parasol... - powiedział Ferdynand.

- Jaki pan chce? - zapytał dyrektor.

- Duży, z bambusową rączką, i czarny, bo ja jestem poważny - dodał.

- Niech pani się zaraz dowie - powiedział dyrektor do urzędniczki - jakie są dzisiaj ceny rynkowe tego typu parasoli... A panowie - zwrócił się do naczelnika, inspektora i kierownika działu - bądźcie łaskawi udać się do swych gabinetów i natychmiast zacznijcie załatwiać sprawę udzielenia pożyczki panu Wspaniałemu. Niech pan jeszcze nie odchodzi, panie Wspaniały - powiedział do Ferdynanda, który zabierał się do wyjścia razem z nimi. - Chcę panu coś pokazać. Kiedy zostali sami, dyrektor podszedł do szafy, otworzył ją szybkim ruchem i rzekł:

- Niech pan tylko popatrzy!

Ferdynand spojrział i zobaczył kilkanaście różnych parasoli wiszących w szafie w idealnym porządku.

- Piękna kolekcja! - szepnął zachwycony.

- To jeszcze nie wszystko - powiedział dyrektor z dumą. - W domu mam drugą taką samą. Musi pan kiedyś do mnie wpaść, to panu pokażę.

- Na pewno wpadnę, panie dyrektorze, na pewno! - powiedział Ferdynand i podziękowawszy za wszystko, wybiegł oszołomiony z gabinetu dyrektora, żeby pognać do kasy i podjąć przyznane mu pieniądze.

Iv

Z tymi pieniędzmi w kieszeni ruszył Ferdynand na miasto w poszukiwaniu odpowiedniego parasola.

- Nie mogę postępować lekkomyślnie - mruczał sam do siebie, chodząc po ulicach i pilnie wypatrując sklepów z parasolami. - Nic łatwiejszego, jak kupić byle jaki parasol i potem do końca życia czuć niesmak, że się nie kupiło takiego, o jakim się marzyło... Mam czas... Najpierw obejdę wszystkie sklepy i zobaczę, co też w nich mają...

Chodził więc Ferdynand po sklepach wzdłuż rzędów parasoli, zupełnie jak jakiś dygnitarz przed kompanią honorową. Od czasu do czasu wywoływał któryś z parasoli z szeregu, przyglądał mu się uważnie, opierał się na nim z fasonem jak na lasce i niekiedy nawet otwierał. Ale ciągle nie mógł się zdecydować.

Wreszcie, wyszedłszy z dwudziestego piątego z kolei sklepu, Ferdynand stuknął się w czoło i powiedział:

- Ale ja jestem ciemniak!

Stuknął się w czoło po raz drugi i powiedział:

- Ale ja jestem gapa!

Stuknął się w czoło po raz trzeci i powiedział:

- Ale ja jestem kompletnie nie myślące dno! Chodzę jak głupi po tych sklepach i nawet przez

chwile nie przyszło mi do głowy, że przecież parasoli w tych sklepach nie robią. A gdzie robią parasole? Parasole robią u parasolników! A więc tylko u parasolników znajdę taki parasol, o jakim marzę!

I nie namyślając się wiele, Ferdynand ruszył na poszukiwanie parasolników. Po drodze śpiewał sobie taką oto piosenkę:

\\
``Parasolnicy, parasolnicy,@ gdzie wy mieszkacie?@ Na jakiej ulicy?@ W jakiej dzielnicy,@ Czy tu, czy tam,@ Parasolnicy,@ Szukać was mam?"@

\\
Usłyszała tę piosenkę Ferdynanda jakaś starsza pani, przechodząca obok niego akurat w tym momencie, i powiedziała:

- Bardzo pana przepraszam, że przerywam panu śpiewanie takiej ślicznej piosenki, ale przypadkowo znam adres pewnego znakomitego parasolnika...

Ferdynand aż podskoczył z radości.

- Błagam panią - zawołał - niech pani natychmiast da mi ten adres! Czy to daleko?

- Skąd, proszę pana, blisko! Dwa kroki stąd! - powiedziała starsza pani. - Na ulicy Deszczowej 18. Będzie pan pamiętał?

- Do końca życia, proszę pani, do końca życia! - powiedział Ferdynand. - Stokrotnie pani dziękuję za tę bezcenną informację!

Powiedziawszy to, Ferdynand ruszył w stronę ulicy Deszczowej.

- Niech pan tylko pamięta - wołała za nim starsza pani - że na ulicy Deszczowej bez przerwy pada deszcz....

- Nic nie szkodzi... - wołał oddalając się Ferdynand. - Najwyżej trochę zmoknę, zanim dobiegnę do tego słynnego parasolnika. Potem, kiedy będę już miał parasol, deszcz może sobie padać, ile mu się tylko podoba.

Ulica Deszczowa istotnie znajdowała się w pobliżu. Ferdynand bez najmniejszego trudu odnalazł numer 18-ty. Z frontu nie było żadnego sklepu ani zakładu. Przy bramie jedynie znajdował się niewielki szyld, a na nim wymalowany parasol i strzałka wskazująca wejście do bramy. Ferdynand poszedł w kierunku wskazywanym przez strzałkę. Przeszedł przez bramę i znalazł się na obszernym podwórku. Powoli cały zaczynał ociekać wodą, bo jak tylko wszedł na Deszczową, od razu znalazł się w strugach ulewnego deszczu.

``Dziwna historia - pomyślał sobie - z tym deszczem na Deszczowej..."

Ale nie dziwił się temu zbyt, bo od dłuższego czasu Ferdynand niczemu się już właściwie nie dziwił.

Dobre dziesięć minut rozglądał się wkoło po tym podwórku i nigdzie nie mógł dojrzeć żadnego śladu parasolnika. W końcu podniósł wzrok wyżej i wtedy dopiero, na balkonie drugiego piętra, zobaczył kilkanaście różnokolorowych parasoli rosnących w skrzynkach zupełnie jak kwiaty.

Wszystkie były rozpięte i woda po nich ściekała w dół. Między innymi prosto na głowę Ferdynanda, który w tym momencie był już przemoczony do suchej nitki.

- Teraz już wiem, gdzie jest ten parasolnik! - zawołał Ferdynand i biegiem pognął na drugie piętro.

Nie do wiary, ale na schodach też padał deszcz. Ponieważ Ferdynand, jak już powiedzieliśmy, był kompletnie przemoczony, idąc po schodach przestał zwracać uwagę na to dziwne zjawisko. Było mu zupełnie obojętne, czy zmoknie jeszcze więcej, czy nie.

- Niech sobie pada... - mruczał pod nosem, z którego co jakiś czas skapywała mu kropla wody.

Stał wreszcie przed drzwiami z wymalowanym parasolem i zapukał.

- Wchodzić, wchodzić! - odezwał się jakiś głos za drzwiami. Ferdynand otworzył drzwi i wszedł do środka. W środku też padało. ``Niesamowita jakaś historia" - pomyślał sobie, ale nic nie dając po sobie poznać, powiedział tylko głośno: - Dzień dobry.

- A dzień dobry, dzień dobry - odparł parasolnik siedzący pod ogromnym rozpiętym parasolem.

Z parasola spływały strugi deszczu, a parasolnik siedział sobie pod nim suchuteńki.

- Czego pan tak stoi na tym deszczu? - powiedział parasolnik do Ferdynanda. - Niech pan przyjdzie szybko tutaj pod parasol!

Ferdynand wszedł pod parasol i dopiero wtedy zauważył, że wyrasta on z ogromnej drewnianej donicy, takiej, w jakich czasami rosną palmy, które się trzyma w domach albo przy głównych wejściach do hoteli.

- Czym mogę panu służyć? - zapytał parasolnik wpatrując się w Ferdynanda. - Sądząc po pańskim stanie, potrzebny jest panu parasol, prawda?

- Tak jest, proszę pana - powiedział Ferdynand. - Potrzebny mi jest parasol.

- Niech pan siada - powiedział parasolnik wskazując Ferdynandowi krzeselko stojące pod wielkim parasolem.

Ferdynand usiadł, a usiadłszy rozejrzał się dokoła.

- Przepraszam pana bardzo - powiedział - czy tu u pana nie ma dachu?

- Owszem, jest - odparł parasolnik.

- To czemu tak tutaj leje? - zdziwił się Ferdynand.

- Na Deszczowej zawsze leje, proszę pana - wyjaśnił parasolnik. - Między innymi właśnie dlatego założyłem tutaj swoją hodowlę parasoli.

- Chciał pan pewnie powiedzieć: pracownię parasoli? - wtrącił Ferdynand.

- Nic podobnego, proszę pana. Chciałem powiedzieć: hodowlę parasoli, a nie żadną pracownię.

Pracownię parasoli może mieć byle kto, rozumie pan? A ja, Franciszek Ambrelliński, mam jedyną na świecie hodowlę parasoli. Moje parasole są naturalne, proszę pana, nie jakieś tam sztuczne.

Podobnie jak istnieją prawdziwe perły i perły sztucznie hodowane, tak samo istnieją sztuczne parasole, produkowane masowo, i prawdziwe parasole, hodowane jedynie przeze mnie. A co do tego dachu, proszę pana - mówił dalej, przypomniawszy sobie pytanie Ferdynanda - to na ten deszcz, który pada na Deszczowej, żaden dach nie pomaga. Nie wynaleziono jeszcze takiego nieprzemakalnego dachu, w przeciwieństwie do moich parasoli... Niech pan tylko popatrzy...

Ferdynand popatrzył i rzeczywiście: pod ogromnym parasolem było zupełnie sucho, podobnie jak pod wszystkimi innymi parasolami, których ogromne ilości stały w doniczkach po całym pokoju. Były wśród nich ogromne, dorosłe parasole i maleńkie parasoliki, takie, co to dopiero wypuściły pierwsze pędy.

- Nadzwyczajne - powiedział z podziwem Ferdynand. - Pod żadnym z nich, nawet pod tym najmniejszym, nie ma ani śladu deszczu!

- Bo one, proszę pana, są naprawdę nieprzemakalne - powiedział z dumą pan Ambrelliński. - Ja, proszę pana, byle czego nie hoduję... A panu jaki parasol potrzebny? Chyba nie ogrodowy, co?

- Nie - powiedział Ferdynand. - Nawet nie mam ogródka. Potrzebny mi jest parasol spacerowy...

- Rozumiem - powiedział ze zrozumieniem pan Ambrelliński.

- Elegancki - dodał Ferdynand.

- Z innym sobie pana nie wyobrażam...

- Nie za ciężki - ciągnął dalej Ferdynand.

- Moje są jak piórko, może pan być spokojny - zapewnił parasolnik, kładąc rękę na sercu.

- Z bambusową rączką...

- Ja hoduję parasole wyłącznie na bambusowych szczepach - stwierdził pan Ambrelliński.

- Który by się nigdy nie zacinał...

- Zacinają się tylko sztuczne, prawdziwe nigdy!

- Który by nie przemakał...

- Moje są stuprocentowo nieprzemakalne!

- I który by przede wszystkim nigdzie się nie gubił - zakończył Ferdynand.

- Co do tego, damę panu stuletnią gwarancję. Parasole z mojej hodowli same pilnują swoich właścicieli, w przeciwieństwie do parasoli pospolitych, których trzeba pilnować nieustannie.

- Daje pan stuletnią gwarancję? - zapytał zdumiony Ferdynand.

- Jeśli to panu za mało - powiedział parasolnik - to mogę dać dłuższą, ale z doświadczenia wiem, że parasole dłużej nie żyją jak sto lat, to znaczy parasole z mojej hodowli. Bo inne żyją rok, dwa, trzy najwyżej - dokończył z widoczną pogardą. - A w jakim kolorze ma być ten parasol?

- W czarnym - powiedział Ferdynand.

- Od razu widać, że ma pan dobry gust - powiedział parasolnik. - Inni żądają parasoli niebieskich,

czerwonych, zielonych albo fioletowych, a niekiedy nawet, niech pan sobie wyobrazi, żółtych! Pan natomiast chce posiadać parasol czarny. Bardzo to ładnie z pana strony... Ja sam osobiście również najbardziej lubię czarne. Czarne najtrudniej wyhodować, podobnie jak róże. Bardzo popularne są róże czerwone, żółte, białe, trafiają się nawet niebieskie i zielone, ale prawdziwym okazem jest dopiero czarna róża!

- Słyszałem coś o tym - powiedział Ferdynand.

- No to niech pan sobie któryś z tych czarnych wybierze - powiedział pan Ambrelliński i wskazał Ferdynandowi rząd przepięknych, dobrze wyrosniętych i zgrabnych parasoli, tkwiących w swoich doniczkach.

Ferdynand zaczął im się uważnie przyglądać i w końcu wpadł mu w oko trzeci od lewej strony.

- Wezmę ten - powiedział.

- Najpiękniejszy okaz z tego rocznika - pochwalił jego wybór parasolnik.

- Tylko co będzie z doniczką? - zaniepokoił się Ferdynand. - Mam wrażenie, że chodzić tak z tą doniczką ucepioną do rączki parasola nie będzie zbyt wygodnie.

- Niech się pan o to nie martwi. Ten parasol jeszcze w tej chwili rośnie, ale zaraz wyrwiemy go z doniczki i będzie po kłopotcie - powiedział pan Ambrelliński.

- A czy on, proszę pana, czasem nie zwiędnie, jak się go z tej doniczki wyrwie? - zapytał Ferdynand.

- Nie ma mowy! Od czasu do czasu tylko musi pan z nim wyjść na deszcz, żeby sobie porządnie zmoknął, to mu bardzo dobrze robi. Widzi pan, one tutaj na Deszczowej przyzwyczajone są do nieustannego deszczu. Gdyby go zbyt długo nie miały, to mogłoby im być smutno.

- Będę z nim chodził po deszczu całymi godzinami - powiedział stanowczo Ferdynand.

Parasolnik schylił się nad doniczką z wybranym przez Ferdynanda parasolem i wprawnym ruchem wyrwał go z ziemi. Oczyszczył rączkę szmatką i podał parasol Ferdynandowi.

- Niech pan sam zobaczy, co to za parasol! - powiedział.

Ferdynand wziął parasol i poczuł się jak w raj. Deszcz bębnił rytmicznie na powierzchni parasola, a w Ferdynandzie wszystko szalało z zachwytem z sercem na czele.

- Ile pan chce za ten parasol? - powiedział wreszcie z drzeniem w głosie, bo bał się, że cena będzie z pewnością wygórowana.

- Niedużo - powiedział pan Ambrelliński.

- Ale ile, konkretnie?

- Jak dla pana, niech będzie trzysta złotych - powiedział parasolnik.

- Trzysta złotych? - zdziwił się Ferdynand.

- Za drogo?

- Za tanio! Dam panu czterysta - powiedział Ferdynand.

- Nie zgodzę się za nic w świecie - zaprotestował pan Ambrelliński.

- No to trzysta pięćdziesiąt - zaproponował Ferdynand.

- No dobrze, niech będzie trzysta pięćdziesiąt - zgodził się parasolnik - ale daję panu słowo honoru, że to za wysoka cena.

- Nic podobnego, proszę pana. Za niska! - zawołał Ferdynand. Wyjął pieniądze i wręczył je panu Ambrellińskiemu.

Potem się pożegnali jak starzy przyjaciele i Ferdynand pod swoim wspaniałym parasolem opuścił hodowlę pana Ambrellińskiego, w której bez przerwy padał deszcz. W potokach deszczu szedł potem po schodach, w potokach deszczu przeszedł przez podwórko i w potokach deszczu szedł pełen szczęścia ulicą Deszczową.

Nad sobą miał wymarzony parasol.

V

Kiedy tylko Ferdynand skręcił z Deszczowej, natychmiast przestało padać i zaświeciło słońce.

- Trzeba będzie zamknąć parasol... - pomyślał sobie Ferdynand i zaczął szukać urządzenia umożliwiającego złożenie parasola i zamienienie go z wielkiego grzyba na cienkiej nóżce w

smukłą, obandażowaną czarnym jedwabiem, laskę.

Ale urzędzenia takiego nie było.

- Ciekawe... - mruknął pod nosem Ferdynand i szedł z otwartym parasolem dalej, mimo że wszyscy przechodnie dawno swoje parasole i parasolki pozwijali. - Może to nawet lepiej - mruzczał do siebie w dalszym ciągu - bo mi przynajmniej parasol porządnie wyschnie...

W pewnym momencie podszedł do niego jakiś pan.

- Bardzo pana przepraszam - powiedział - ale nie wiem, czy pan zauważył, że już nie pada?...

- A tak, zauważyłem - odparł Ferdynand.

- Widzę, że pan idzie z rozpiętym parasolem, więc pomyślałem sobie, że pan pewnie się zamyślił albo coś w tym rodzaju... - tłumaczył się pan nie chcąc, aby Ferdynand posądził go o natręctwo.

- Ja specjalnie idę z otwartym parasolem - powiedział Ferdynand.

- Czy można wiedzieć dlaczego? - zapytał pan głosem pełnym ciekawości.

- Żeby wysechł, proszę pana, po prostu, żeby wysechł... - powiedział Ferdynand.

- Pan jest genialny! - zawołał ów pan z podziwem. - Pan pierwszy zrozumiał duszę parasola! Pan o parasol dba, pan chce, żeby mu było dobrze, pan nie zostawia go swemu losowi, tak jak to niestety czyni większość posiadaczy parasoli czy parasolek! Kiedyś parasole wystawią panu pomnik! Idę za pańskim przykładem!

Mówiąc to zaczął rozpinąć swój parasol mimo pięknej, słonecznej pogody.

- Żegnam pana - powiedział odchodząc. - Wszystkich po drodze będę agitował do pójścia w pańskie ślady!

I poszedł.

Wkrótce Ferdynand spostrzegł, że na ulicach pokazuje się coraz więcej osób z rozpiętymi parasolami i parasolkami, chociaż o deszczu dawno zapomniano i nawet chmurki nie było na pogodnym niebie.

Od razu ktoś ukuł hasło:

\\

``Parasole lubią, żeby im było sucho!''

\\

Wszyscy zaczęli to hasło powtarzać. Wypisywano je na murach, nadawano je przez megafony i nawet gazety popołudniowe, wychodzące gdzieś około godziny trzeciej, umieściły to hasło nad nagłówkami na pierwszych stronach.

VI

W końcu jednak ten nieustannie otwarty parasol zaczął Ferdynanda denerwować. Powiedźcie sami, jak długo można chodzić po mieście z rozpiętym parasolem, jeśli w dodatku nie pada deszcz?

- Coś trzeba będzie z tym zrobić - postanowił Ferdynand i jeszcze raz dokładnie obejrzał rączkę parasola i jej najbliższe okolice, spodziewając się znaleźć jakieś urządzenie umożliwiające zmianę kształtu parasola z grzybowatego na laskowaty. Ale nigdzie urządzenia takiego nie było. Ferdynand próbował więc różnych innych sposobów. Potrząsał mocno parasolem, stukał nim o chodnik, kręcił w lewą stronę, kręcił w prawą stronę - bez rezultatu. Parasol w dalszym ciągu był rozpięty i nie miał najmniejszego zamiaru się zwinąć.

- Pójdę chyba do pana Ambrellińskiego - pomyślał sobie wreszcie - niech on mi powie, jak się te wyhodowane przez niego parasole składa...

Skierował się już nawet w stronę ulicy Deszczowej, ale zrobił zaledwie kilka kroków, kiedy nagle potracił go jakiś bikiniarz.

- Mógłbyś trochę uważać, braciszku - zwrócił mu uwagę Ferdynand.

- Bo co? - zachnął się bikiniarz.

- Bo to nieładnie potrać przechoźniów...

- Nie bądź znowu taki ważny przechodzień! - powiedział bikiniarz i wsadził ręce w kieszenie, żeby okazać Ferdynandowi swoją najgłębszą pogardę.

- Jak się kogoś potrać, to trzeba powiedzieć: ``przepraszam''...

- A mnie się nie chce!
- Takie postępowanie świadczy o braku kultury...
- Gwiżdżę na twoją kulturę! - powiedział bikiniarz.
- Bo jesteś źle wychowany - oświadczył Ferdynand.
- Skończ już z tymi kazaniami! - wrzasnął bikiniarz i znikając w tłumie dorzucił jeszcze: - Zamknij się! Cześć!

Ledwo bikiniarz to powiedział, parasol natychmiast się złożył. Sam bez jednego nawet gestu ze strony Ferdynanda.

Ferdynand zbaraniał.

``Zdaje się, że ten parasol składa się na rozkaz i dlatego nie ma żadnych specjalnych urządzeń służących do tego celu - pomyślał sobie Ferdynand. - No dobrze, ale jak się wobec tego otwiera? Jeśli zamyka się na słowa ``Zamknij się!``, to powinien się otwierać na słowa ``Otwórz się!`` Teraz spróbujemy, czy tak jest istotnie"... I nie tracąc czasu Ferdynand zawołał głośno:

- Otwórz się!

Parasol natychmiast się otworzył.

- Zamknij się!

Parasol natychmiast się zamknął.

- Otwórz się!

Parasol natychmiast się otworzył.

- Zamknij się!

Parasol natychmiast się zamknął.

- Teraz jesteśmy w domu! - zawołał Ferdynand z radością. - Już wiemy, jak się otwiera i zamyka nasz parasol. O, nieznamy bikiniarzu, któryś mnie potrafił, jakże chciałbym ci gorąco podziękować za tę przysługę, którą mi wyświadczyłeś swoją niegrzecznością!

Ale bikiniarza już dawno nie było i nigdy nie dowiedział się o tym, że jego aroganckie: ``Zamknij się!`` rozwiązało problem, którego w żaden sposób nie był w stanie rozwiązać umysł Ferdynanda. Powtarzając co chwila: ``Zamknij się!`` i: ``Otwórz się!`` Ferdynand postanowił wracać do domu.

Wszyscy przechodnie znajdujący się owego dnia na ulicach, którymi przechodził w drodze do domu Ferdynand, obserwowali z dobroduszną wyrozumiałością jegomościa co chwilę otwierającego i zamykającego bez najmniejszego powodu swój czarny parasol z bambusową rączką.

Vii

Pierwsze kroki pana po schodach usłyszał stary zegar.

Spojrzał w dół i ujrzał u swoich stóp na podłodze drzemiącego Ferdynanda. Obok Ferdynanda leżał ulubiony parasol pana, który Ferdynand dla zabawy przyciągnął z przedpokoju.

- Będzie awantura - pomyślał sobie Bimbom i zaczął się zastanawiać, co by tu można było zrobić w tej sytuacji. Ferdynand chrapał aż miło i w ogóle nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa. - Będzie awantura, jak pan zobaczy ten sponiewierany parasol...

Kroki w klatce schodowej były coraz głośniejsze. W końcu Bimbom usłyszał brzęk wyciąganych przez pana z kieszeni kluczy.

- Co tu robić? Co tu robić? - zastanawiał się rozpaczliwie. - Trzeba jakoś tego Ferdynanda obudzić, ale jak?

I nagle przyszedł mu do głowy pomysł.

- Przecież za sekundę będzie szósta - pomyślał błyskawicznie. - Tak wybije tę szóstą, żeby się Ferdynand obudził.

I nie namyślając się wiele zaczął bić szóstą w ten sposób:

\\

ZBUDŹDŹDŹ!

SIĘĘĘĘĘ!

FERRRRRR!

DYNNNNNNN!

NANNNNNNN!

DZIEEEEEEE!

\\

Ferdynand natychmiast otworzył oczy.

- Co się dzieje? - spytał.

- Pan wraca - powiedział Bimbom.

- No to co?

- Jeszcze się pytasz? Oberwiesz za ten parasol, zobaczysz...

- Za jaki?

- Za ten, co leży obok ciebie na podłodze.

Ferdynand spojrział na parasol pana.

- Otwórz się! - zawołał głośno, coś sobie nagle przypomniawszy.

Ale parasol nie zareagował na ten jego okrzyk i dalej leżał na podłodze jakby nigdy nic.

- To nie mój parasol - powiedział Ferdynand.

- Pewnie, że nie twój, tylko pana - powiedział Bimbom. - I dlatego właśnie wiej teraz jak najszybciej, bo pan już jest w przedpokoju.

Ferdynand w jednej chwili oprzytomniał. Zdążył tylko podkulić ogon pod siebie i uciec do sąsiedniego pokoju, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł pan. Od razu wpadł mu w oczy leżący pod zegarem parasol.

- Skąd ten parasol się tutaj znalazł? - powiedział. - Czy to czasem nie Ferdynand?

Nikt na te pytania panu nie odpowiedział. Stary Bimbom milczał jak zakłęty, a Ferdynand w sąsiednim pokoju udawał, że śpi strasznie głębokim snem.